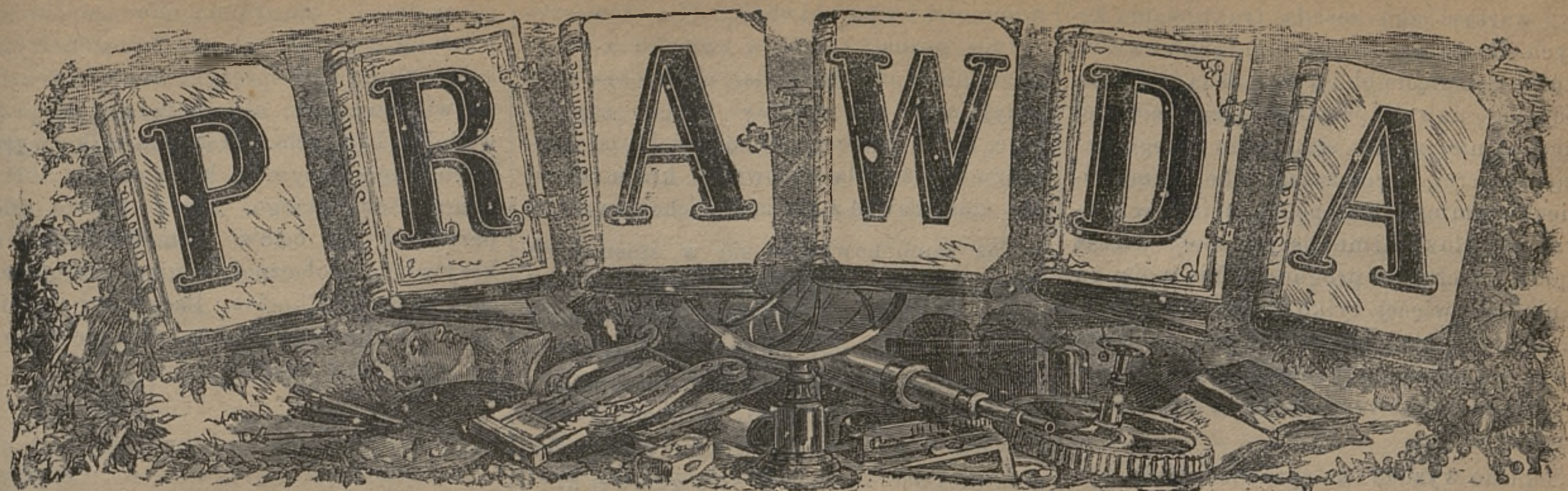
№ 17. Warszawa, dnia 28 (16) Kwietnia 1883 r. Rok III.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres Redakcyi i Administracyi
Włodzimierska Nr. 2.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

LIBERALNE BANKRUCTWA.

Mają także swoje losy — wyrazy! Ktoby przed czterdziestu jeszcze laty spodziewał się, że miano *liberalizmu* posłuży niedługo do okrycia najsromotniejszych gwałtów? Ktoby się spodziewał wówczas, gdy jego hasła brzmiały w ostatnich walkach za swobodę, że wkrótce pod tym samym godłem rozpostrze się sztandar ucisku? A przecież tak jest — i tę smutną przemianę wyrazu, to wyłuskanie z łupiny zdrowego i osadzenie w niej robaczywego ziarna mamy do zawdzięczenia — niemcom. Doprawdy stronnictwo postępowe każdego kraju musi swe stanowisko ubezpieczyć całym szeregiem wyraźnych zastrzeżeń, jeżeli nie chce, ażeby na nie spadł cień osławionego liberalizmu niemieckiego. Jestto bowiem dziś polityka i teorya najskrajniejszego, niemiłosiernego samolubstwa, zarówno w sferze ekonomicznej, jak państwowo-społecznej i cywilizacyjnej. Rzecznicy jej, przyjąwszy za dogmat wolność, rozumieją przez nią tylko nieograniczoną przewagę siły — siły jakiejkolwiek. Wielki kapitał, wielki naród, wielka cywilizacya powinny, według nich, bezkarnie pochłaniać małe. W Europie widzą oni morze, po którem pływają olbrzymie szczupaki i przeznaczone do żywienia ich drobne płotki. Że ubodzy, słabi, ciemni również żyć pragną — to ich mało obchodzi i nawet do litości nie pobudza. Bez wątpienia, tak się toczy walka o byt, która zawsze i wszędzie daje mocniejszemu zwycięstwo nad słabszym. W rozwoju wszakże stosunków ludzkich mają swój głos także pewne uczucia i prawa, które łagodzą to ich okrucieństwo. Głosu tego liberalizm niemiecki wcale nie słyszy. On tylko wierzy w dziką swobodę, z której korzysta posiadacz grubszej pałki, pełniejszej kieszeni i rozumniejszej głowy. Handel, według niego, musi być bezwględnie wolnym, przemysł nie podlegać żadnym ograniczeniom interesów kapitalisty, a państwo z liczną armią nie znajdywać żadnej przeszkody w zaborach i wynaradawianiu — chociażby ten katechizm zubożał, tępił i krzywdził miliony, niemogące się oprzeć przemocy. Wcieleniem takiego liberalizmu są obecne Niemcy. Dość czytać ich „postępowe" gazety lub przysłuchać się mowom ich „postępowych" posłów! Co to za nienasycony egoizm! Że konserwatyści wszelkich odcieni kiwają głowami pionowo na oświadczenia swych ministrów a poziomo na skargi poznańczyków lub alzatów — z tym akompaniamentem trzeba się zgodzić i przyznać, że on tworzy bardzo harmonijny kontrapunkt z głosami solistów politycznych w Berlinie. Książe Bismark wygłosił raz przykazanie: „Skłonność do zapalania się dla obcych narodowości i dążeń narodowych nawet wtedy, gdy one urzeczywistnić się mogą jedynie kosztem własnej ojczyzny, jest polityczną *chorobą*." Konserwatyści niemieccy powiedzieli *amen*, a odmawiając ten pacierz, strzegą się wskazanej w nim *choroby*. Ale nie tak logicznie wygląda konsekwencya grup liberalnych, gardłaczów „swobody," „niepodległości, „równouprawnienia," i tym podobnych orężów, w które dziś uzbraja się zarówno napastnik, jak i napastowany. Rycerze tego szeregu, mianujący się „postępowcami," gdy idzie o ich własną skórę, o korzyści kapitalistów i wielkich przemysłowców, ci apostołowie cywilizacyi, którzy piętnują wzgardą prześladowanie żydów, milkną albo przesuwają walec swej katarynki na inną melodyę, gdy mowa o prawach jakiejkolwiek „niższej rasy." Nawet najidealniejszy z tej czeredy, słynny poseł Richter, który stanął niedawno w obronie psów, zagrożonych opodatkowaniem, nie znajduje ani słowa współczucia dla milionów ludzi. A p. Virchow, który tak gorąco broni swobody badania, nie uważa za słuszne przyznawać „niższej rasie" swobody — używania języka ojczystego.

Gdyby nie smutnie, komicznie wyglądałby ów liberalizm w krzyżackich kapturach. Nie pierwszy to widok i nie ostatni. Dla tego też chcemy nań zwrócić uwagę czytelników i zapobiedz solidaryzowaniu żywiołów, w niejednym punkcie pokrewnych, ale w niejednym różnych. Cieniem, jaki niewątpliwie pada od liberałów niemieckich, usiłowano nieraz obrzucić postępowców naszych. Dziecinne dedukcye, wyprowadzane z wspólności nazw, obiegały w naszej prasie z szerokim kredytem. A miały one zupełnie tę samą racyę, co według tejże samej logiki wyciśnięty wniosek, że konserwatyści nasi we własnych sprawach stoją na wspólnym gruncie z niemieckimi. Wątpimy zaś, czy którykolwiek warszawski organ konserwatywny zbratałby się z p. Tiedemannem lub Gosslerem. Wogólności należy dziś bardzo ściśle odróżniać rozmaite, często najsprzeczniejsze żywioły jednem ochrzczone imieniem. Przestrodze tej dajemy szczególny nacisk w odniesieniu do liberałów. Pod szanowny, płaszcz „liberalizmu" pokryły się najbardziej wrogie mu dusze. Ta maskarada odbywa się przedewszystkiem w Niemczech. Polityczne tej chorągwi stronnictwa — narodowo-liberalni i część postępowców — pojmują swobodę tylko jako monopol pewnych narodowości, klas lub wyznań, wydziedziczając z niej wszystkie inne. Widzimy to w całej „walce kulturnej" a może najwyraźniej w postępowaniu z poznańczykami. Draper powiedział w jednem z dzieł swoich: „Narody są tylko przechodniemi formami ludzkości; muszą one znikać, jak zmienne postacie w królestwie zwierząt." Ta uwaga bardzo słuszna

na cmentarzu ludów zmarłych, traci całą swą wartość jako zasada traktowania żywych. Bo naród nie jest lampą lub świecą, której zgaśnięcie obliczyć można i żaden socyolog nawet przy łożu jego ciężkiej choroby nie zdoła stanowczo przepowiedzieć śmierci. Tymczasem liberalizm niemiecki zamienił Europę na szpital, w którym nad głowami mniejszych społeczeństw zapisuje zuchwałe prognozy. Nie widzi on w nich nic więcej, tylko zanikające gatunki. Jest to ślepota brutalnego sobkowstwa, zdobienie najgrubszych instynktów prawdami naukowemi, niecnota w pozorach słuszności.

Smutno wyznać a sprawiedliwość wyznać każe, że żywioł najbardziej wsteczny, rodowód swój ze średnich wieków wyprowadzający, ultramontanie okazują w parlamencie niemieckim najwięcej ludzkich uczuć i rzetelnej sprawiedliwości względem innych narodów. Tylko Windhorst, Schorlemer - Alst, przywódzcy centrum i Majunke rycerz zakamieniałej ortodoksyi — ci tylko w swych głosach odkryli czyste, teutońską żarłocznością niepokalane sumienie. Nie wiemy, jakby oni zachowali się przy władzy, może straciwszy interes popierania współwyznawców z taktyki, zapomnieliby o swych wzniosłych zaletach; to pewna jednak, że dziś ultramontanie niemieccy przedstawiają żywioł politycznie najsprawiedliwszy. Tyle razy przeciwstawiając się im na innych punktach, musimy przyznać, że na tym godni są głębokiego szacunku.

To jednostronne samolubstwo liberalizmu niemieckiego, ta przenikająca go na wskróś niesprawiedliwość musiała doprowadzić do bankructwa. Upadek narodowo-liberałów był pierwszym moralnym *krachem* tego żywiołu, słaby odgłos agitacyi „postępowców“ (*Fortschrittspartei*) zapowiada dalsze zmniejszenie się jego kredytu. Dziś ludzie szczerze wolnomyślni nie grupują się już pod tym sztandarem, nie składają swych nadziei w tych bankach z okazałym szyldem, opartych na niesumienności i wyzyskiwaniu. Nie towarzyszymy poznańczykom w związku z ultramontanami aż do najdalszych kresów tego przymierza; nie możemy jednak zaprzeczyć, że ich konieczność odrzuciła od liberalizmu i że dla ratowania kraju muszą oni maszerować z obozem zachowawczym.

Toż samo powtarza się w stosunkach austryackich. Liberalizm tamtejszy niósł również ludom słowiańskim gwałt i ucisk, konserwatyzm dał im względną swobodę i równouprawnienie. Za dary te zapłaciły one wielkiemi stratami ekonomicznemi i cywilizacyjnemi, ale osiągnęły korzyści, przeważające ofiarę. W szczegółowej krytyce działań Koła polskiego w Wiedniu zaznaczamy wyraźnie punkty, w których się z niem nie godzimy; ale ogólnie przyznajemy, że jego związek z prawicą jest konieczny. Liberalizm niemiecki bowiem — to podstępny bankrut, któremu ufać nie można. Jak dalece stracił wiarę u wszystkich narodów słowiańskich monarchii austryackiej, dowodem przymus, który sobie zadali postępowi posłowie czescy, przyjmując wsteczną ustawę szkolną, cofającą wychowanie publiczne o lat kilkadziesiąt. Do tego stopnia sojusz z konserwatystami stał się niezbędnym, niemal obowiązkiem narodowym.

Polityka bywa zwykle targiem, wymianą usług, licytacyą. W tej licytacyi na gruncie niemieckim żywioły zachowawcze dały ludom słabszym więcej, podczas gdy liberalne albo dały mniej, albo okazały się niewypłacalnymi ze swych obietnic. Stąd układy, stąd owe „błędne koła,“ o których mówiliśmy dawniej. Niewątpliwie w łonie słowiańszczyzny niemieckiej znalazłyby się pierwiastki gotowe zerwać cywilizacyjnie dokuczliwe przymierze i stanąć po stronie prawdziwego liberalizmu, ale fatalna konieczność pcha je w objęcia reakcyi, szkodliwej, wyniszczającej, ogłupiającej, ale przynajmniej niemorderczej, dozwalającej żyć.

Konieczność ta, jako wynik stosunków specyalnych, naturalnie nie osłabia ani wartości, ani siły tych godeł postępowych, które winny być sprężynami społeczeństw ucywilizowanych, nie gasząc gwiazd przewodnich ich życia. Jest ona tylko wyrokiem potępiającym to karle plemię liberalizmu niemieckiego, który wielką ideę przykroił do celów samolubnych, na krzywdzie społecznej i międzynarodowej zatkniętych. Chociaż Bacon był złodziejem, a Voltaire pochlebcą, nikt nie wyprze się indukcyi i tolerancyi.

A. S.

CHRZEŚCIAŃSKO - AUSTRYACKIE ŚWIĘTO.

Kraków zamierzył dwóchsetną rocznicę zwycięstwa pod Wiedniem uczcić ogólną wystawą pamiątek po Sobieskim i odpowiednim obchodem. Zagraniczna prasa polska odbywa więc rekolekcye ze swymi czytelnikami, ażeby ich przygotować do tego „święta narodowego.“ Jestże to „święto narodowe?“ Zapewne, społeczeństwo może się szczycić nietylko tymi ze swych czynów przeszłych, którymi osiągnęło szczęście własne, lecz także i tymi, przez które dopomogło bliźnim. Owszem, nawet z takiej chluby wybija się bardzo jasny promień szlachetności, która całego rozumu i charakteru ludów nie zamyka w samolubstwie. Jeżeli człowiek z dumą wspomina objawy swego poświęcenia dla innych, czemuż nie miałby tego czynić cały naród? Ale gdy jednostkowa lub zbiorowa usługa była zbyt wspaniałomyślną, nieopatrzną, gdy obdarowani wyzyskali ją niewdzięcznie. wtedy staje się ona dla nas pamiątką smutną. Taką jest właśnie wyprawa wiedeńska Sobieskiego. Kto jej światło przepuści przez pryzmat chrześciański i rycerski, temu ona da tęczowe widmo sławy; ale kto ją ocenia ze stanowiska narodowego, blasku nie dojrzy. Było to przed-

---

[2])

Burza w zaciszu

przez

Swetozara Hurbana.

Dom Orzechowańskich stał po za gospodarstwem bliżej gór, chroniących Orzechowany i cały zakątek od wiatru północnego. Z prawej strony ciągnęły się niższe wzgórza, z lewej — gołe pagórki. Tylko ku południowi widok był swobodniejszy: leżały tam pola i pastwiska orzechowańskie. Do zwirówki mieli orzechowianie półtorej godziny. Wiodła do niej droga polna, w lecie pełna kurzu aż do zduszenia, w jesieni i na wiosnę tak błotnista, że koła grzęzły po same osie. Siedziba ta mogła słusznie nazywać się zaciszem. Sami mieszkańcy byli daleko stateczniejsi od swych sąsiadów a może i bardziej zatwardziali w przesądach. Wszystkie ich stosunki ze światem ograniczały się do wyjazdów na targ w miasteczku odległem ze trzy mile. Po gospodarstwach sąsiednich, bardziej już zbliżonych do świata, rozpowszechniły się szeroko maszynowe koronki na czepkach kobiecych, staniki wyszywano jedwabiem a nawet zaczęto nosić „wełniaki“*) na głowach.

W Orzechowanach nosiły kobiety u czepców ozdoby domowej roboty, dziewczęta chodziły z gołą głową i z opuszczonymi warkoczami, zwyczajne żółte chustki na głowę u mężatek nie ustąpiły jeszcze miejsca kolorowym wełniakom. Gdy u wieśniaczek okolicznych pas wznosił się coraz wyżej i wyżej a w mocno ściągniętym staniku, szpecącym przyrodzone kształty ciała widziano piękno i wyższość, kobiety i dziewczęta orzechowańskie nosiły staniki stosownej długości i nietamujące rozwoju figury. Podobne, bardzo wybitne różnice stroju zjawiają się u nas często w najbliższem sąsiedztwie, tak jak różne zwroty dyalektyczne.

W gospodarstwie panował stary obyczaj, w domu pańskim żyło się jak można najmodniej.

Ciotka Lydya rozprawiała o Włoszech, Medyolanie, Wenecyi; pan Orzechowański o madziarszczyźnie, jego żona o przymiotach i zaletach szlachty, dwaj jej synowie, gdy przybyli na kilkotygodniowe odwiedziny do rodziców, nudzili się najmodniejszemi nudami a witali się wzajemnie przez *czau***).

*) Wielkie chustki wełniane.

**) *Czau* wyraz bez znaczenia, używany przy powitaniu przez burszów uniwersyteckich, tak jak np. servus w armii austryackiej lub też: sługa.

Starszy Aureli był jakimś niższym urzędnikiem w ministeryum, młodszy Piszta (Stefan) uczęszczał na wykłady prawa, ale obaj odziedziczyli po matce to silne przekonanie, że są już z urodzenia czemś lepszem od innych. Ojciec ich był wprawdzie fanatykiem, ale tkwił w nim rys starowęgierskiej dobroduszności szlacheckiej i oryginalności sędziowskiej. Synowie znów skutkiem wychowania zostali zapaleńcami na zimno; ostatnia nić, wiążąca ojca z ziemią pradziadów, zerwała się w nich pod wpływem szkoły płytkiej w nauce a na uczucia nieoddziaływającej wcale lub też bardzo słabo. Małymi chłopcami opuścili dom rodzicielski i kraj a tym sposobem lepsze wrażenia nie mogły zakorzenić się w ich sercach.

Siostra ich za to wyssała więcej ze świeżej przyrody i pierwotnej oryginalności kraju i ludu. Dzieckiem już przywiązała się do swej mamki i piastunki tak gorąco, że stary Orzechowański „purifikując“ dom z „baczkorajskiej“*) słowaczczyzny nie odważył się wypędzić starej Katarzyny. Pomogło mu w tem urojenie, że Katarzyna właściwie pochodzi z Szegedynu, co wskazuje samo nazwisko — Kowacz! Prócz

*) *Bocskoros* (czyt. boczkoros) jest słowem, którego używają madziarzy, przedrwiwając słowaków za to, że noszą boczkory, t. j. trzewiki z kawałkiem skóry, przymocowywane do nogi rzemykiem.

sięwzięcie dla cudzej korzyści poświęcające interes własny, przedsięwzięcie niezmiernie kosztowne a podjęte w chwili, w której kraj już konać zaczynał. Ledwie zaś upłynęło lat sto od chrześciańsko-rycerskiej ofiary Sobieskiego, a już ten sam Wiedeń, który ona ocaliła, topił sztylet w sercu swej zbawicielki. Jeżeli więc nie płakać, z czego się cieszyć?

Jedno z zagranicznych pism polskich wyraża nadzieję, że papież przyśle swe błogosławieństwo na uroczystość krakowską. Nie wątpimy, że przyśle i przyznajemy, że będzie ono właściwem! Bo chrześciaństwo, a ściślej mówiąc katolicyzm, obchodzi rzeczywiście w pamiątce wiedeńskiej swój tryumf. Wtedy religijne interesy Europy były zagrożone przez nawałnicę muzułmańską a król polski przyczynił się istotnie do odparcia jej. Dotąd w Rzymie wypadek ten czczony jest osobnym zwyczajem i zapisany złotemi głoskami w dziejach katolicyzmu, jego więc naczelnik powinien należeć do głównych reżyserów obchodu. Że dotąd czekał i prosić się kazał, wynika to z poddańczego stosunku wiernych względem głowy kościoła, która nie zna innych obowiązków nad nałożone sobie dobrowolnie.

Równoważnie we wspomnieniach odsieczy wiedeńskiej zainteresowaną jest Austrya. Nieobliczonej logice wypadków wiadomo tylko, co by dziś rosło na gruncie monarchii Habsburgow, gdyby Sobieski odmówił był swej pomocy, a turcy rozlali się swobodnie. Może dziś nad Dunajem odbywałyby się konsylia dyplomatyczne przy łożu „chorego człowieka.“ Wobec tej i wielu innych możliwości, wyłączających istnienie „wiernokonstytucyjnych“ gardłaczów, charakterystycznem jest zrzeczenie się wielkiego obchodu w stolicy austryackiej. Wiedeń, ów Wiedeń, który przed dwustu laty przybierał wszystkie barwy strachu i ledwie wymknął się zagładzie, nie chce święcić rocznicy swego ocalenia żadną wydatną uroczystością. Jestże to obojętność? Nie, tylko fałszywy wstyd. Bez pogwałcenia historyi niepodobna byłoby pozbawić polaków praw do wdzięczności, a taka wdzięczność przez gardło niemieckie nie przelezie. Mimo że jeden galicyanin jest ministrem bez teki, drugi z teką, a trzeci przewodniczy Radzie państwa, trudno byłoby znienawidzony, *bo* uciśniony naród posadzić nawet w historycznych wspomnieniach na pierwszem miejscu. Próbowano wydobyć z lamusów, okurzyć z pyłu i szczególnem bohaterstwem natchnąć rozmaitych *grafów* i *fürstów*, którzy „wyruszali“ z Kalenberga, ale po najtęższem wydęciu żaden z nich na bohatera nie wyrósł. Ponieważ zwycięsców niemieckich zbrakło a męstwo polskiego króla w smak austryacki nie wpada, zaniechano święcenia odsieczy wiedeńskiej. Jest to tak wymowny objaw, że godzi się zapisać go jako dowód wdzięczności obok czułych łez Maryi Teresy...

Galicya rozumuje inaczej. Ona chce przypomnieć Austryi historyczne długi i użyć ich do pokrycia rozmaitych swoich pretensyj politycznych. Niewątpliwie, głośne przypomnienie zasługi Sobieskiego pod Wiedniem może być także sprężyną polityczną, chociaż nie tej siły, którą mu zapalczywe gazety przysądzają. Chwilowo sprawia to efekt, ale tylko chwilowo i tylko efekt. Chociażby tysiąc Sobieskich ocaliło kiedyś tysiąc miast austryackich, na dzisiejszy bieg życia Galicyi w stosunku do monarchii austryackiej nie wpłynie to wcale, nie powstrzyma ani jednej pompy, wysysającej ostatnie centy z ubogiego kraju. Fajerwerk się spali, dym wiatry uniosą, a siła rzeczy pójdzie niewykolejona ze swego toru i liczyć się będzie tylko z warunkami obecnymi.

Odpowiadając zatem na postawione wyżej pytanie, wyznać musimy, że zamierzona w Krakowie uroczystość wiedeńska świętem narodowem jest o tyle chyba, o ile niem może być pamiątka zbyt wspaniałomyślnej i niewdzięcznością odpłaconej ofiary, przedewszystkiem zaś jest ona świętem chrześciańsko-rycerskiem i austryackiem. Naród nie ma z czego cieszyć się. Nie zaprzeczamy Galicyi słusznych powodów do wyzyskania sposobności a połączonej z obchodem wystawie zabytków z epoki Sobieskiego — pouczającego znaczenia; jeśli wszakże ogół polski wobec aktu wrześniowego zachowuje się dosyć obojętnie, wstrzemięźliwość ta, według nas, do pojęcia łatwa. Wspomnienia bowiem odsieczy wiedeńskiej grają przedewszystkiem na strunach duszy znającego historyę chrześcianina i składającego swe nadzieje w Wiedniu austryaka. Polak, zwracając swą myśl w przeszłość, zatrzymuje ją na innych chwilach.

A. H.

RELIGIE LUDÓW NIECYWILIZOWANYCH.

I.

Znaną jest historya ustanowienia katedry historyi religij w Kolegium francuskiem. Było o to dużo wrzawy, pomimo że brakło słusznej do tego racyi; wykłady bowiem w Kolegium noszą właściwie charakter nietyle wykładu szkolnego, co zdawania sprawy z badań naukowych. Subtelna ta różnica stanowi jednak różnicę, która powinna była zneutralizować zły humor tych, dla których przedmiot ów był czynem, noszącym na sobie najjaskrawsze znamiona wołającego o pomstę do nieba grzechu przeciwko duchowi św. Wrzawy jednak było dużo. Proroctw nawet nie brakło. Ale katedra stanęła, p. Réville ją zajął, wykłady rozpoczął; proroctwa się nie spełniły, ale za to literatura naukowa zbogaciła się dwiema pracami wartości niepośledniej: „Prolegomena historyi religij“ (*Prolégomènes de l'histoire des religions*) i „Religie ludów nie-cywilizowanych“ (*Les religions des peuples non-civilisés*), nie licząc broszury p.t. *Historya religii*, będącej lekcyą wstępną kursu w Kolegium francuskiem. Z prac wymienionych, pierwsza będzie przedmiotem, z którym zaznajomić chcemy czytelników polskich. Pomi-

---

tego pocieszył się tem, że przydał córce paskudne, uparte dziewczysko z żołądkiem bezdennym i szczególnym talentem do łakomstwa. Jednakże rozumne słowa staruszki głębiej wnikały do duszy, niż stereotypowa paplanina przybłędy.

Wystawa frontowa dworu orzechowańskiego, wychodząca na gospodarstwo, spoczywała na czterech białych słupach. Można tam było wygodnie wieczorem posiedzieć. Za dworem ciągnął się dość wielki ogród ze stawem w zupełnem zaniedbaniu. Wysoka trzcina rosła u brzegów a w środku na małej, sztucznie urządzonej wysepce stała altanka drewniana. Świeży potoczek górski wpadał do stawu. Czółno, pomalowane na czerwono, stało przy brzegu. Ostatni plan ogrodu stanowiły stare drzewa: kasztany, lipy i akacye. Całość i pojedyncze szczegóły wskazywały, że dawni właściciele dworu i majątku dobrze w nim żyć mogli i umieli. Szerokie izby, przestronne komory i piwnice były tego dowodem. Lecz czasy się zmieniają...

Stary Orzewański był mocno podrażniony. Dostał od syna list, w którym mu donosił, że na razie stracił wszelką nadzieję posunięcia się w urzędzie. Prócz tego, w dopisku upraszał o przesłanie okrągłej sumki pieniędzy i to odwrotną pocztą. Dla pani Orzechowańskiej były obie te okoliczności rzeczą bardzo naturalną. „Synowi naszemu — mawiała — nie może przecież wystarczyć 80 guldenów pensyi miesięcznej!“ Przekonał się o tem wreszcie i pan Karol, ale cóż na to poradzić? Znów pożyczka!

— A cóż to znaczy, chociażby i pożyczka! Zapomniałeś o świetnem dziedzictwie, jakie nas czeka.

— Zając w gąszczu — mruknął Karol i otulił się szlafrokiem, jakby na mróz.

— To tylko kwestya czasu i bardzo krótkiego. Brat twój leży już rok, nażył się, nażył... Wszystko ma swój koniec...

— Wprawdzie brat mój chory, chory bez nadziei, lecz żyje jeszcze. Nie piękna to rzecz Luizo, czekać na czyjąś śmierć i plany na niej opierać. Jakież właściwie mam prawo czegoś się spodziewać? Ojciec podzielił nas równo... Brat poszedł w świat, budował domy, był człowiekiem czynnym, pracowitym. Majątek jego rósł. Ja zostałem w domu... moje mienie się rozpłynęło! A wiesz przecie, że nam już dał tyle, ile wynosił jego spadek. Tak, dał bezinteresownie! Powrócił tym murom to, co z nich wyniósł.

— Prawda, ale przecież nie ma na świecie nikogo, prócz ciebie i twych dzieci. Gdzież więc niesprawiedliwość w oczekiwaniu na to, co z prawa przypadnie naszym dzieciom?

Karol rozweselił się jakoś. W słowach żony nie było w istocie nic nienaturalnego i krzywdzącego.

Do pokoju wsunęła się Lidya z listem otwartym w ręku.

— List z Medyolanu! — wołała już w drzwiach — *mio caro Milano!*

Ciotka się ożywiła. Naprzekór swym pięćdziesięciu latom stroiła się ze smakiem, czerniła swe włosy i mawiała, że człowiek się nie starzeje, jeśli tylko serce młode zachował. Jednakże zmarszczki na twarzy białej i delikatnej mówiły co innego.

— Jakaś ty ładna Lidyo — zażartował Karol Orzechowański i usiadł na niskiej kanapce.

— Kolor niebieski bardzo mi do twarzy, wszak prawda? — zapytała z uśmiechem Lidya, siadając przy nim. Pisze mi właśnie Julietta, że już wysłała pocztą nową suknię z jedwabiu włoskiego! Cóż to za rozkosz!

Z przyległej sali dały się słyszeć dźwięki i stukanie młotkiem. Maciej Mraz przyszedł nastroić fortepian, wszakże dopiero wtedy, gdy Herma trzy razy przysyłała po niego.

Przy wejściu wzięła go za rękę i wprowadziła do pokoju. Było mu jakoś ciężko na sercu.

jamy broszurę i *Prolegomena*, raz dla tego, że, jeżeli nas pamięć nie zawodzi, jużeśmy o nich pisali, powtóre dla tego, że zawierają one poglądy ogólne, stanowiąc zarazem wstęp obszerny do historyi, poczynającej się właściwie od pracy, której tytuł wymieniliśmy na czele artykułu, a która obejmuje dwa spore tomy (str. 412 i 276 in 8-o majore) i tworzy część pierwszą dziejów religij.

Autor nasz nie pisze dziejów, jak się pisać zwykły, zaczynając je od najpierwszych o religii świadectw mniej więcej historycznych i prowadząc opowiadanie porządkiem chronologicznym, okresami. Przyjął metodę inną. Historyę religij przedstawia czytelnikowi, jak historyę naturalną, gromadząc i systematyzując fakta, objaśniające jej związek i rozwój. Faktów nie szuka w przeszłości, w takim bowiem razie musiałby się ograniczyć do religij, które mają poświadczoną przeszłość i odmówić sobie świadectw żywych, jakie składają ludy, znajdujące się w chwili obecnej na tym stopniu cywilizacyi, na jakim znajdowały się narody cywilizowane w dobie pierwobytu swego. Nie potrzebujemy dowodzić wielkiej wagi tego rodzaju świadectw, wobec niepewności i niedostateczności tych, których dostarczają źródła urzędowe i półurzędowe, nagromadzone pod postacią dokumentów i podań pisanych. P. A. R. dokumenta i podania bierze wprost z życia, chwyta je—że się tak wyrazimy—na uczynku gorącym, rozpatrując je na gruncie ludzkości w dzieciństwie, której okazy znajdują się obficie w Afryce, w Ameryce i na archipelagach Oceanu Spokojnego. Niektórzy nazywają je ludami „dzikimi...“ P. A. Réville nazwy tej nie przyjmuje, nie znajdując obecnie żadnego na kuli ziemskiej ludu, którego stan by ją usprawiedliwiał. „Dzikość“ oznacza stan czysto zwierzęcy, odznaczający się mianowicie nieumiejętnością przygotowywania narzędzi i posługiwania się niemi. Ze zwierząt żadne nie sporządza sobie prostego do obrony własnej kija, używając narzędzi tych wyłącznie, w jakie je natura zaopatrzyła: rogów, pazurów, zębów. Był taki może stan troglodytów, obecnie atoli nie istnieje na kuli ziemskiej — przynajmniej podróżnicy nie odkryli go dotychczas, gdyż nawet plemiona najbardziej upośledzone, mieszkańcy Ziemi Ognistej, buszmani, i ci nietylko znają się z narzędziami, których używają, ale mają pojęcia niejakie oderwane, dające się podciągnąć pod kategoryę pojęć religijnych.

Zachodzi pytanie, które niejednemu z czytelników wyda się zbytecznem, a które jednak niejednego w kłopot by wprawiło: co to jest właściwie religia? Człowiek, piszący historyę religij, musiał sobie pytanie to zadać i dać na nie odpowiedź. Według pana A. R., religia jest to wrodzona w człowieku dążność zjednoczenia się z bóstwem. Definicya ta — z góry oświadczamy — do przekonania nam bardziej, aniżeli inna, nie trafia, pomimo że autor udowodnić się ją starał faktami, których nagromadził ilość ogromną. Niedokładność jej z faktów właśnie przytoczonych wynika. Ażeby do czegoś dążyć, potrzeba cel dążenia znać, a przynajmniej posiadać poczucie go. U ludów pierwotnych nie przejawia się nic podobnego, natomiast spostrzegamy interesowanie się losami własnymi, interesowanie się, które stanowi podnietę najpierwszą zarówno we względzie wynalazku narzędzi, jak też w tłomaczeniu sobie przyczyn powodzenia przedsięwzięć. Ludzie pierwotni z rozmaitem szczęściem wynajdują sobie pożywienie, polują, wojują i romansują. Powodzenie zależy od przyczyn częstokroć niepojętych, zagadkowych. My, ucywilizowani, nie zawsze z przyczynami do końca trafić umiemy; cóż dopiero członkowie narodów, dla których doba cywilizacyjna zaledwie świtać poczyna. Tym przyczyny przedstawiać się muszą, jak się przedstawiają dzieciom. Ponieważ do czynienia mają z naturą a przedmiotami najpierwszymi, na które zwracają swą działalność, są rośliny, zwierzęta i zjawiska przyrody, ku nim przeto rozumowanie ich przedewszystkiem się zwraca, w nim szukają przyczyn powodzeń i niepowodzeń i znajdują je w domniemanych własnościach tych przedmiotów, w wydzielających się z nich przymiotach. Że wydzielaniu się owemu przypisują dowolność, świadczą o tem dzieci, przyznające życie rzeczom nieżyjącym. Dla ludzi niecywilizowanych rośliny, zwierzęta, obłoki, światła niebieskie czują, myślą i działają, wywierają wpływy złe lub dobre, albo złe i dobre i rozbudzają ku sobie cześć, która z czasem przybiera postać kultu. Oto jak się budzą uczucia religijne. Trudno przypuścić, ażeby tu występowała dążność łączenia się z bóstwem, mogąca objawić się nie pierwej, aż wrażenia, mnożąc się i uogólniając, o bóstwie pojęcie urobią. Religia w zaczątkach swoich nic jeszcze z bóstwem do czynienia nie ma i dlatego to H. Spencer pierwociny jej odnosi do chwili, w której w ludziach budzi się, wraz z czcią dla przodków, pojęcie o życiu przyszłem, o duszy, o jej nieśmiertelności. Pan A. R. odmiennego jest zdania. Początek religii łączy on ze świtaniem rozumowania — i słusznie, zdaniem naszem; ale, w takim razie inną dla niej powinienby obmyśleć definicyę; jego bowiem definicya, bardziej aniżeli do jego, do wywodu Herberta Spencera przystaje, oznaczając stadyum pojęcia religijnego jedno z następnych, to mianowicie, w którem pytania o przyczyny wzniosły się na stopień wyższy od pierwotnego.

Jak owe pytania, tak rozwijają się i pojęcia religijne. Na stopniu pierwszym religia jest (używając terminów prof. Kol. franc.) „naturystyczną“ (*naturiste*), na drugim „animistyczną“ (*animiste*), na trzecim mitologiczną itd. Pierwsza wyraża się za pomocą kultu przedmiotów i zjawisk natury, dla ich własności; druga dotyczy własności, przedstawiających się jako przedmioty abstrakcyjne, jako pierwiastki duchowe i sprowadzających powstanie duchów, podział świata na cielesny i duchowy; trzecia stanowi już świadectwo kultury stosunkowo wysokiej, będącej wstępem do religii cywilizowanej, do takiego buddaizmu, chrystyanizmu, islamizmu, będących w istocie swojej nie czem innem, tylko syntezą wierzeń, urabiających się pierwotnie pod wpływem „naturyzmu,“ rozwijających się następnie pod postacią animizmu i przybierających w końcu kształty poetyczne dramatów mitologicznych. Z ludów, przez pana A. R. pod względem religijnym badanych, w stadyum mitologiczne weszły następujące: eskimosi, polynezyjczycy i zaludniające północ Azyi finno-tatarskie plemiona; niektóre ze szczepów amerykańskich czerwonoskórych wchodzą dopiero w ten okres; plemiona afrykańskie i reszta mieszkańców archipelagów na Oceanie Spokojnym znajdują się jeszcze w stanie animizmu; naturyzm zaś czysty jest stanem plemion, stojących na najniższym szczeblu drabiny cywilizacyjnej. Narodów bezreligijnych nie ma wcale. Według p. A. R. wszystkie mają w zarodku pojęcie jedynobóstwa, niewyraźne, mętne, niemniej przeto jednak rzeczywiste, które stanowi rodzaj pestki zarodowej, wydającej w następstwie owoc. Myśmy poję-

---

Ciotka Lidya wytknęła przezedrzwi kędzierzawą głowę.

— Kto tak hałasuje? — spytała pani Orzechowańska, spojrzawszy melancholijnie ku oknu.

— Rechtor ze wsi — odpowiedziała Lidya, pokręciwszy nosem; Herma stoi mu za plecami, zapewne ona kazała go zawołać.

— Znowu te głupstwa — westchnęła baronówna z pogardliwym ruchem ręki; ta Herma ma dziwne gusta! Pastuchy, rechtory, stare dziewki — oto towarzystwo! Niedawno wprowadziła do salonu wiejskie dziewczysko! Wodziła ją po wszystkich kątach i pokazywała albumy i rysunki. Powinienbyś jej tego surowo zabronić — rzekła — zwracając się z wyrzutem do męża.

— Alboż nie wzbroniłem? Któż jednak ujmuje się za rozpieszczoną dziewczyną, gdy ją ojciec chce ukarać? Ty z Lidyą rzucacie mi się zaraz na szyję!

— *Fi donc!* rechtor!—użyła sobie Orzechowańska, przesuwając po twarzy białą chusteczkę z wyhaftowaną na niej wielką, czerwoną koroną.

— A zawsze paple po słowacku — mówił Karol zapalając się — niedawno nazwała mię „papinkiem.“ Czyż ja jestem jakimś tam papinkiem?

— *Milano, Milano* — westchnęła, pogrążona w myślach Lidya.

— *Maccaroni, lazzaroni, salamucci* — dodał gniewnie Karol Orzechowański, tobie tylko te głupie Włochy w głowie!

Człowiek tu siedzi wśród obczyzny! Żona po niemiecku, ciotka po włosku a córka w końcu już po słowacku zatruwa mi powietrze! O! gdybyście się uczyły po madziarsku!

Orzechowański wyszedł, zatrzasnąwszy za sobą drzwi z taką siłą, że aż dom się zadrgnął. Nigdy prawie się nie gniewał. Tylko na myśl o słowaczczyznie, żółć się w nim burzyła. Już wielokrotnie chciał zmienić nazwisko na Diosfalvy! Lecz widok zapylonych obrazów przodków odwodził go zawsze od tego kroku. Bo jeden z Orzechowańskich odznaczył się w bitwie pod Mohaczem... Sława dziejowa tego imienia nie mogła by przejść na Diosfalvy'ego. Tak więc ze względów rodzinno szlacheckich pozostał przy starem nazwisku, jednak przy danej sposobności mawiał, że jest z pochodzenia polakiem, chociaż Orzechowany jako żywo nigdy w Polsce nie leżały. W tej nienawiści przeciw słowaczczyznie zgadzała się z nim żona mniej jednak z przyczyn etnograficznych, aniżeli dla tonu. Do madziarszczyzny nie miała szczególniejszej sympatyi, wszakże kazała ją często dla tego tylko, że tak kazała moda a ludzie chwalili.

— Dziękuję panu, panie nauczycielu — mówiła Herma, gdy Mraz schował młotek do głębokiej kieszeni swego surduta o długich połach — a teraz pójdziemy razem na przechadzkę.

Maciej Mraz byłby się wymówił, ale niemieczczyzna, w jakiej te słowa były wypowiedziane, poplątała mu szyki. Herma wzięła milczenie to za zgodę i po chwili stanęła przed nim zupełnie gotowa.

— Dawno już chciałam pana zapytać o nazwy kwiatów, rosnących u nas. Pan podobno znasz wszystkie korzonki i roślinki, mówiła mi o tem Marysia Bohunkowna. Jakież to miłe dziewczątko! Gdyby mi tego nie wzbraniano, tobym jej nie wypuściła ze dworu.

Pan nauczyciel sunął się machinalnie obok dziewczęcia. Nie zauważył nawet, jak wyszli z gospodarstwa w kierunku wzgórza. Dzień lipcowy jaśniał całą swą krasą i barwnością. Słońce było jeszcze wysoko, gdy przyszli na jeden z pagórków. Ciasnym wąwozem kroczyli wprost do góry. Oddech młodej dziewczyny tak się wysilał, że było w nim słychać szybkie bicie serca. Maciej słyszał jedno i drugie! Na twarz jego wystąpił rumieniec młodości, opanowało go jakieś uczucie swobody.

— Jaki to kawałek grałeś pan niedawno wieczorem? Mnie on zachwycił! Tchnęła

cia tego nie dopatrzyli w zgromadzonych i ugrupowanych przez uczonego autora świadectwach. Występuje ono dopiero w epoce animizmu, gdy jaka taka organizacya zwiąże ludzi w społeczność i zaprowadzi hierarchię na ziemi. Hierarchię tę niebo odbija, niby zwierciadło, rozmaicie, stosownie do warunków, w jakich się to odbicie odbywa. Na warunki składają się: klimat, własności gruntu, temperament i większe lub mniejsze uzdolnienia umysłowe ludności. Jedna rasa wytwarza sobie Boga jakiegoś mglistego, nieokreślonego, przedstawiającego się mętnie pod nazwą, która nie wiadomo, co oznacza; inna wciela go w postać jakąś pod zmysły podpadającą: drzewa, góry, słońca, księżyca, orła, węża a nawet i człowieka. Bóstwo objawia się tu tak, owdzie inaczej, wszędzie atoli jednakowo pod względem podniet, które objawienie sprowadzają. Zależy to od nastroju wyobraźni. Niektóre ludy istotę najwyższą wyobrażają sobie pod postacią wiatru. Zauważyć należy, iż pod tym względem, jak wogóle pod względem podróżników i misyonarzy, o wierzeniach ludów niecywilizowanych wielka panuje niedokładność. Opowiadania często sprzeciwiają się jedne drugim. Pochodzi to częścią z nierozumienia języka krajowców, częścią z niechęci, z jaką ci „pierwotni" udzielają białym wiadomości o sobie, częścią stąd, że podróżnicy, zwłaszcza zaś misyonarze szukają nie tego, co by znaleść mogli. Materyały te atoli, lubo sprzeczne częstokroć w szczegółach, których podają mnóstwo ogromne, dają wszakże pojęcie ogólne o formowaniu się wyobrażeń religijnych, odbywającem się wszędzie według reguły jednej i tejże samej, przewodniczącej wyrostowi rośliny z ziarnka. Ziarnkiem w tym razie jest umysł ludzki. Kiełkuje on, wypuszcza źdźiebełka, wydaje pieniek, liście, kwiat, owoc. Rośliny są rozmaite, ale reguła jednakowa. Historyka interesują zarówno pierwsze jak druga, jako czynnik cywilizacyjny bardzo ważny. (D. n.)

T. T. Jeż.

Z Heidelberga.

Kwiecień, 1883.

Orędzie cesarskie i hasło dla „dobra ludu." — Dolfuss i Towarzystwo pomocy naukowej poznańskie. – Muzea Godefroy i Guimeta.—Nowe dzieło Froschhammera.— Rzeczy ludowe portugalskie. — Pieśń miłosna staroegipska. — Słownik ukraiński Żelechowskiego. — Dom narodowy łużycki. – Pieśni litewskie.

W jednym z poprzednich listów moich rozpocząłem charakterystykę profesorów uniwersytetu tutejszego, przyrzekając uzupełnić ją w dalszych. Materyał leży oddawna gotowy; ale codzienny przypływ faktów z życia bieżącego tak się dopomina uwzględnienia, grożąc przedawnieniem, że i dzisiaj odłożyć muszę na czas późniejszy zapoznanie czytelników z ciałem uczonem wszechnicy.

Najważniejszą sprawą dnia jest tu orędzie cesarskie i oczekiwanie jego skutków. Dopóki sejm nie odpowie. nie warto się wdawać w wróżby. Niepodobna jednak nie wyrazić kilku myśli, które i w społeczeństwie tutejszem i w umyśle piszącego budzą się z powodu niezwykłego tego w dziejach parlamentaryzmu wystąpienia.

Mój Boże, któż tym biednym ludem się nie opiekuje, któż dobra jego nie ma, jeżeli nie na sercu, to przynajmniej na ustach! Zrozpaczony irlandczyk, podkładając dynamit pod wiekowy gmach angielski, czyni to „dla dobra ludu;" potężny król prowadzi milion wojska do cudzego kraju, stacza sto krwawych bitew i ogłasza się cesarzem „dla dobra ludu;" inkwizytor zadaje katusze niedowiarkowi, smaży go i pali także „dla dobra ludu;" któż tego hasła nie używa i nie nadużywa? Zachodzi tylko pytanie, kto tu jest szczery, a kto nieszczery; kto interesowny, a kto bezinteresowny? Czy np. książe Bismark z czysto ludzkich, czysto filantropijnych pobudek, czy dla umocowania swojego systemu i tych, którym z nim i w nim dobrze, rozczula nas swoją o „biednego człowieka" pieczołowitością?

Nie będziemy sobie łamali głowy nad rozwiązaniem tego zagadnienia: zbyt ono przezroczyste dla nieuprzedzonych. Zaczekajmy lepiej, aż sam lud wyrazi sąd swój o narzucających mu się przyjaciołach. Tymczasem zanotujemy fakt, że ostatnie posunięcie kanclerza na szachownicy politycznej świadczy o niesłychanej jego biegłości i przebiegłości. Cóż to za zręczne, niby nieumyślne wplątanie dwuletniego budżetu do tej arcychrześciańskiej sprawy opiekowania się nad „biednym ludem!"

Jakikolwiek weźmie obrót sprawa ta w parlamencie niemieckim, widać jednak, że zagadnienia społeczne dojrzewają i wniebogłosy dopominają się rozwiązania, i to nietylko w Niemczech. Francya bierze się naprawdę do przeprowadzenia na wielką skalę dorywczych i cząstkowych prób jednostek: sprawa obdarzenia własnością mas robotniczych wchodzi na drogę już nie pojedynczych, ale państwowych usiłowań.

Tydzień temu miałem sposobność przyjrzenia się owocom pracy Dolfussa w Milhuzie i sąsiednich miastach francuskich. Stamtąd właśnie wyszło zacne i rozumne początkowanie uwłaszczenia robotników, tam, po raz pierwszy w Europie, wprowadzono w czyn marzenia umiarkowanych socyalistów. Szczupłe ramy listu mojego i obfitość nagromadzonego zasobu innej treści zmusza mię do opisania wycieczki do Alzacyi w oddzielnym artykule. Tymczasem podzielę się głównem mojem z niej wrażeniem: najciekawszą, najbardziej pocieszającą i podziwienia godną w Alzacyi rzeczą jest owa milhuzeńska „Cité ouvrière;" stosunkowo małą po niej wydaje się nawet strzelista wieża katedry strasburskiej, a zbutwiałymi zamki i zameczki na wyżynach Wogiezów; to rozsypująca się w proch przeszłość, a tam kipiąca życiem i nadzieją świetnej przyszłości teraźniejszość.

Mniej głośną, mniej w istocie doniosłą, choć gatunkowo równą sławie Dolfussa jest pamięć Marcinkowskiego. I on działał „dla dobra ludu;" ale nie znalazł się ani jeden człowiek, któryby w prawość i szczerość pobudek jego nie wierzył i nie cieszył się powodzeniem jego myśli. Obdarzono mnie sprawozdaniem dyrekcyi Towarzystwa pomocy naukowej im. Karola Marcinkowskiego za rok ubiegły. Przyjrzyjmy się mu choć pobieżnie.

Towarzystwo ukończyło *czterdziesty drugi* rok istnienia swojego. Poszczycić się może ono faktem, że, wśród stosunkowo coraz trudniejszych dla siebie okoliczności, przy zubożeniu szlachty poznańskiej i niechętnem działaniu rządu niemieckiego, obroty pieniężne w r. 1882 nie zmniejszyły się w porównaniu z poprzednimi laty. Największą skuteczną w zbieraniu zasobów okazała się pomoc kolektorów parafialnych, i wogóle Towarzystwo przychodzić zaczyna do przekonania, że „nie szczupła liczba wysokich składek, lecz wielka małych stanowi najsilniejszą podstawę materyalną wszelkich spółek i towarzystw." Pomimo

---

zeń jakaś uroczystość, jak z hymnu. I tatce się także podobał — powiedziała dziewczyna, gdy weszli na drogę.

— Jeżeli się nie mylę, grałem wtedy: *Kto cierpi za prawdę...* jest to stara pieśń słowacka.

— Słowacka? — rzekła ze zdziwieniem Herma a oczy jej szeroko się otwarły; Marysia nie śpiewała mi jej jeszcze ani razu.

— Marysia jej nie zna.

Herma w żaden sposób nie mogła pojąć, żeby Marysia nie miała znać jakiejś pieśni słowackiej. I dla niej nazwa „słowacki" była jednoznaczną z nazwą „chłopski." I pomyślała sobie: Chyba ma słuszność moja matka, że ci rechtorzy są tylko chłopami w surducie.

Herma odbiegła a za chwilę przyniosła garść kwiecia i traw. Zaczął się egzamin z botaniki.

Mraz chętnie objaśniał, zapalał się prawie. Przeszli do języka słowackiego, nie wiedząc sami jak. Milczący nauczyciel zamienił się w mówcę.

Wpadłszy w teoryę, zaczął rozwijać systemy... potem przyszła kolej na przyrodę wogóle. Rozsądne uwagi dziewczyny prowadziły go coraz dalej. Herma usiadła przy nim, patrzyła mu prosto w twarz, potakiwała lub zaprzeczała. Maciej całkiem odmłodniał. Jakaś słodka woń tchnęła od postaci młodej panny. Z każdego słowa biło gorące szczere uczucie. W młodocianym zapale położyła mu rękę na ramieniu, jak dziecko, istotnie jak dziecko. Po ciele nauczyciela przebiegły słodkie dreszcze. Uczucie dawno zapomniane odezwało mu się w duszy. Zasępił się i umilkł. Podniósł oczy do góry, spotkały się z jasnemi oczami panienki.

O jakże mile świeciły te oczy, jaka głębokość w ich spojrzeniu! A te usta malinowe na pół otwarte, ile w nich wdzięku, ile powabu. W rysach młodziutkiej twarzyczki przebijała cała mieszanina przyszłych uczuć i idei, jeszcze nie odczutych i nieprzemyślanych. Piękność to jeszcze utajona, istny pączek przyszłej róży! Nie — to przedświt wschodzącej gwiazdy, gwiazdy wysokiej, dalekiej!...

Słońce już zapadało za góry, gdy się uczestnicy wycieczki zbliżali ku domowi. Marysia z płaczem wybiegła naprzeciwko nich.

— Co ci to Marysiu? — zapytał nauczyciel dziewczyny, niemogącej wśród płaczu słowa wymówić.

— Byłam we dworze, panienka mi rozkazali, abym przyszła, panicz Ernest poszczuł na mnie psa!

Oh mój nowy fartuszek! — zawołała pokazując rozdarte ubranie.

— Chyba nie umyślnie? — pocieszał nauczyciel dziewczynę.

— Umyślnie, umyślnie! — przerwała mu z krzykiem Marysia; ale Janko Olsza zaklął się na duszę, że mu tego nie daruje! Niech panienka powiedzą paniczowi, aby się strzegł. Janko szaleje jak dziki człowiek, wyłamał wielki kół z płotu a jest bardzo silny!

— Ernest jest brutal — mówiła Herma, zwróciwszy się do nauczyciela. Nie płacz Marysiu, fartuszek ci kupię a panicz dostanie od tatka.

— Tatko panienki śmiał się, gdym wołała pomocy — ciągnęła dalej Marysia. Wielkie łzy ciekły jej po twarzy, chociaż ta pod wpływem obietnicy nieco się rozjaśniła. Nowy fartuszek to powab nielada.

— Pójdę do domu, panienko, bo możeby i mnie poszczuli — rzekł Mraz po niemiecku z wielkim trudem.

— Com panu dłużna za nastrojenie fortepianu — spytała Herma i wyjęła z kieszeni aksamitny woreczek.

Czoło nauczyciela zmarszczyło się. Słowa te wyrwały go ze snów idealnych i stoczyły znów w otchłań rzeczywistości. Skłonił się kapeluszem, wziął za rękę Marysię i oddalił się drogą wiodącą do szkoły.

Przyszedłszy do domu, nie zapalił nawet światła, lecz usiadł w ciemnej już izbie na starym fotelu. Drewniany zegar tykotał chrapliwie naściánie między oknami. Wahadło blaszane migało się za ka-

najgorętsze pragnienie, niepodobna mu było udzielić zapomogi wszystkim proszącym: zaledwie trzecią część zgłaszających się zadowolono, i to przekraczając, choć bardzo ostrożnie, właściwy etat. A jednak, oprócz stałych dochodów, otrzymało Towarzystwo przeszło 14,000 marek datków nadzwyczajnych. Ogółem przychodu miało ono przeszło 47,000 m., remanentu z roku zeszłego z górą 13,000 m., wydatku około 53,000 m. Z końcem r. 1882 wspierało 123 stypendystów, rodem z W. Ks. Poznańskiego, z wyjątkiem jednego. Kształcili się oni w uniwersytetach: wrocławskim (14), gryfijskim (12), berlińskim (15), würzburskim (17, z tych 15 teologów na fakultecie katolickim), lipskim (2), halskim (2), strasburskim (1); jeden studyuje inżenierstwo, dwóch rolnictwo w Wrocławiu, jeden górnictwo i jeden rzeźbiarstwo; reszta pracuje w różnych zakładach technicznych, prawniczych, w gimnazyach, seminaryum nauczycielskiem, dwóch poświęca się sztukom pięknym w Krakowie, a jeden handlowi w Gdańsku. Ilu już ludziom pożytecznym a pracowitym Towarzystwo dostarczyło możności ukończenia nauk, o tem wie kraj cały; cieszmy się nadzieją, że zacne to źródło nie wysycha i działać nadal przyrzeka.

Nietylko nasze, samopomocą i instynktem zachowawczym stojące społeczeństwo, ale i inne, bogatsze i potężniejsze inaczejby wyglądały, gdyby nie ofiarność zacniejszych obywateli-mecenasów i szarej masy proletaryatu inteligencyi, która drobnymi datkami składa miliony i wpływa na miliony.

Wspomnijmy głośny Schulverein niemiecki, który zagraża stać się szóstą, czy siódmą potęgą europejską. Wspomnijmy też dwa muzea, czy raczej instytuty sławy europejskiej, które stale i skutecznie dla dobra światła pracują. Chcę mówić o zakładzie Godefroy w Hamburgu i o muzeum Guimeta w Lugdunie. Oba powstały z ofiarności prywatnej swych imieniodawców. O pierwszym znajdujemy czasami wzmianki w pismach naszych, połączone z imieniem Jana Kubarego, który niezmordowanie pracuje nad jego wzbogaceniem, zwożąc z całego świata osobliwości ludoznawcze i przyrodnicze. Najwięcej troskliwości badawczej poświęca muzeum Godefroy Afryce środkowej i Oceanii. Mamy tego dowód w niedawno ogłoszonych dziełach. Jedno z nich, stanowiące tom ogromny, zawiera opis oddziału etnograficzno-antropologicznego, przez Schmelza i Krausego. Drugie, z tekstem Kubarego, obejmuje 175 fotogramów oryginalnych, wyobrażających typy polinezyjskie, melanezyjskie i mikronezyjskie. Są to wierne odwzory krajowców tamecznych, w całej postaci. Tekst wymienia, przy każdym osobniku, wiek jego, imię, ród, barwę skóry, oczu, włosów, siłę (ciśnienia i podnoszenia), wagę i rozmiary ciała, a nawet temperaturę pod pachą, oraz ilość tętni oddechów na minutę.

Muzeum Guimeta ogłosiło też niedawno swój katalog. Głównem zadaniem zakładu tego jest gromadzenie wszystkiego, co się odnosi do religii i kultu wszystkich plemion kuli ziemskiej, przeważnie mniej ucywilizowanych i mało znanych. Jedyny to instytut tego rodzaju, a potrzebę i pożytek jego oceni każdy, kto się zajmuje gabinetowem, książkowem badaniem wierzeń ludowych a nie posiada możności zwiedzania odległych, zaeuropejskich krain. Oprócz specyalnej biblioteki, posiada już muzeum spory zasób posągów i wyobrażeń bóstw, narzędzi i naczyń liturgicznych, ubiorów kapłańskich, talizmanów, fetyszów i t. d.; a nadto ogłasza p. t. *Annales du Musée Guimet* rozprawy treści historyczno- i opisowo-religijnej, oraz zbioropismo, o którem dawniej wspomniałem, p. t. *Revue de l'histoire des religions*, którego wyszło dotychczas tomów sześć.

Ma się rozumieć, że nic nie zdoła wyjaśnić początków i natury religii bez badań historycznych i porównawczych. Im głębiej się one zapuszczają i im szersze zagarniają koło, tem jaśniej na jaw występuje prawda, że prawa rozwoju strony religijnej człowieka wszędzie prawie jednakie były. Przypisywać jej początek działaniu samej tylko wyobraźni, jak to czyni głośny ex-ksiądz Froschhammer, w nowo ogłoszonem dziele *Ueber die Genesis der Menschheit und deren geistige Entwickelung in Religion, Sittlichkeit und Sprache* (Monachium, 1883), wydaje mi się jednostronnością; zdaje się bowiem, że początkowa postać ducha ludzkiego była nie samą imaginacyą tylko, lecz dziwnym, trudnym dziś do zrozumienia i rozwikłania zlepkiem wszystkich władz duchowych, bez żadnej przewagi specyficznej i bez wydatnego ujawnienia żadnej z nich; to pewna, że i władze dostrzegania i sądzenia — bardzo zresztą niedokładne i zarodkowe—znamionują każde, najdziksze nawet plemię żyjące; trudno jednak zaprzeczyć, że wyobraźnia potężnym tam była składnikiem, ale tylko nie wyłącznym.

Czy się przeniesiemy myślą na koniec Europy, aż po za Hiszpanię, czy wczytamy się w papirusy starożytnych egipcyan, wszędzie znajdziemy też same bodźce pierwotne, te same sprężyny ludzkie. Znany belgijski badacz wierzeń i podań ludowych Liebrecht zamieścił niedawno w jednem z wydawnictw uniwersyteckich obszerną analizę świeżo wydanego zbioru zabobonów i baśni portugalskich przez Leite de Vasconcellos (*Tradiçoes populares de Portugal*, Porto, 1882). Otóż, z pewnem zdziwieniem, spotykamy w ojczyźnie Camoensa zwyczaje, przesądy i obrzędy zupełnie podobne do słowiańskich: osypywanie nowożeńców ziarnami, zakaz zaszywania odzieży na sobie, żegnanie się podczas ziewania (o ziewającym z głodu mówią: żegna sobie gębę), wiara w duchy domowe (np. pewien wieśniak, przeprowadzając się do nowego domu, zapomniał starej ławy; ta sama iść zaczyna, oświadczając ludzką mową, że i ona nie chce w starym domu zostać, zupełnie jak nasz Iskrzycki w podaniach Siemieńskiego); ich czarownice, zupełnie jak nasze, smarują się jakąś maścią i latają, tylko nie na Łysą Górę, ale do Sewilli; ludzie śmielszej natury, podobnież jak w naszych baśniach, naśladują je, smarują się i latają, ale najczęściej ciężko przypłacają taką zuchwałość.

A miłość, czyż to nie odwieczna rozkosz i odwieczna plaga ludzkości? Lecz nie tylko miłość, ale pieśń miłosna, madrygał, sonet *a la* Petrarca, i to nic nowego. Gdybyśmy w tej mierze mieli wierzyć na słowo p. Ebersowi, toby istnieć mogły pewne wątpliwości: możnaby dowodzić, że uczony profesor własną wyobraźnią dopełnia suche wskazówki napisów hieroglifowych. Ale kiedy papirusy przemawiają same językiem miłości i pieśni erotycznej, wierzyć im trzeba. Kilkanaście lat temu odkryto głośny romans o dwóch braciach, coś nakształt pierwowzoru historyi Putyfarowej; a w ostatnim zeszycie *Journal asiatique* znany egiptolog Maspero ogłasza odczytane przez siebie ustępy papirusu Harrisa N. 500, które brzmią pieśnią miłosną nakształt Salomonowej. Niecierpliwa dziewica czeka przybycia kochanka, którego (jak w pieśni Salomona) ciągle *bratem* nazywa. „Nie opuszczę cię, ale ręka w rękę chodzić będę wszędzie z tobą, bo czynisz

---

żdem szturgnięciem w półświetle okna. Stary kot przyczołgał się do swego pana, przycisnął lewy bok do jego nogi a wypiąwszy ogon do góry, mruczał przyjaźnie. Ale pan nie pogłaskał go po grzbiecie, jak zwykle.

Stara służąca nauczyciela wychyliła głowę przeze drzwi i spytała krótko, czy sobie czego nie życzy.

— Nie — odpowiedział Maciej smutno.

Nałożył fajkę, zapalił i zaczął puszczać wielkie kłęby dymu. Palącym podobno nie smakuje w ciemności... mimo to jednak pykał nieustannie, aż izba napełniła się kurzawą. Przez otwarty górny lufcik buchał dym na zewnątrz.

— Klucz od dzwonnicy — odezwał się sopranowy głos chłopięcy.

Nauczyciel wstał i zdjął z gwoździa wielki klucz.

— Czemu tak późno—połajał chłopca — jeszcze się potłuczesz na schodach.

Za chwilę odezwał się z wieży głos dzwonu wieczornego. Majestatycznie i przeciągle płynął z niewielkich okien wieżyczki i poruszał pączkami lip. Spłoszone nietoperze wylatywały gromadnie z wieży i z okienek na dachu kościelnym. Zygzakowatym lotem krążyły nad lipami i strzechami chat wiejskich. W oknach domków było ciemno, tylko u zakrystyana migało się światełko. Stary Bohunka siedział nad książką do nabożeństwa i półgłosem czytał modlitwy. Na ganku stała Marysia z Jankiem Olszą. Drzwi zostawiła napół otwarte, aby mogła usłyszeć kroki ojca.

Janko przyniósł jej pierścionek z czerwonym kamykiem, a przytem gałązkę rozmarynu. W dziecinnej radości Marysia ucałowała go, powiedziała mu, że go kocha i że za niego pójdzie, aby tylko śmiało o nią się upomniał. Janko jednakże obawiał się nietylko gniewnego zakrystyana, lecz również swych rodziców, bogatych wieśniaków. Ci nie przyjmą tak łatwo ubogiej synowej. Dziecinna Marysia nie spostrzegała wcale tych trudności. Ona lubiła Janka od dziecka i nie pojmowała, jak mogły powstać przeszkody w połączeniu się wzajemnem.

— Pójdę do wojska, jeśli cię nie dostanę i choćby mię wykupili — mawiał Janko. No, a stary Olsza nie dopuści przecież do tak rozpaczliwego kroku swego jedynaka! Więc młode dziewczę nie lękało się o przyszłość.

— Marysiu pościel mi — zawołał Bohunka.

Drzwi chaty zaskrzypiały a dziewczę weszło do izby, mrugając oczami odwykłemi od światła. Lekki krok parobka zaszeleścił pod oknem.

— Znów tu był młody Olsza — rzekł z gniewem zakrystyan; a ty płocha dziewczyno, zawsześ z nim na ganku! Powiadam ci, daj ty pokój! Nie będzie z was nigdy pary.

Marysia nieraz to już słyszała, lecz znała dobrze swego ojca. On gderze zawsze, ale nigdy nie postąpi wbrew jej woli. I tu się podda. Olsza jest dzielnym chłopcem a ona kocha go naprawdę. Wszystko będzie dobrze.

Stary Bohunka położył się i długo wzdychał.

Przed piętnastu prawie laty przybył do Orzechowan, nie wiadomo skąd! Jedni mówili, że był długie lata na wojaczce, a inni twierdzili, że służył u panów, ale wszyscy przyznawali mu coś tajemniczego i wielką znajomość świata. Wiedział dużo o cudzych krajach a nawet był aż za Pesztem. Używał przeto pewnego szacunku, połączonego z bojaźnią. Te podejrzenia nieokreślone popierano i tem, że stary zakrystyan dostawał corocznie wielki list z pięcioma pieczęciami, że żył wygodnie, na pół po pańsku i nie posyłał swej córki do roboty po za domem. W każdym razie dość przyczyn do rozmaitych plotek. Tylko przykładna pobożność ochroniła go od posądzenia o czary.

(D. c. n.)

ze mnie najpierwszą z kobiet i serca mojego nie krzywdzisz. Wysunę głowę za bramę dziedzińca, bo oto brat mój nadchodzi. Oczami drogę ogarniam, ucho me łowi szmer kroków jego... Aż oto przysyła mi on szybkobiegającego posłańca i oznajmuje: nie jestem wolny. O, powiedz raczej, żeś znalazł inną! Po co mi serce na śmierć zakrwawiasz? Ja cię tak kocham, że, biegnąc na twe spotkanie, ani czuję, jak włosy me rozwiązują się i opadają, a warkocze się rozplatają... a jednak, przysięgam ci, zawsze trefię włos mój starannie, gdy ty masz mię nawiedzić" itd. Otóż to się nazywa kwilić jak słowik; nie dość jednego słowa *kocham*; jeżeli ma się urodzić pieśń miłosna, trzeba je rozproszyć na tysiączne tony, przepleść obrazami i metaforami, malować szczegóły i odcienie. Rzecz prawie nie do uwierzenia, a jednak prawdziwa: ci synowie ponurego Egiptu, ci niewolnicy najsroższego despotyzmu i surowej religii, co to im ciągle o śmierci myśleć nakazywała, umieli już z lutni słodkie nuty miłosne wydobywać i doprawdy z wcale znośną retoryką erotyczną.

Ale otóż list mój wzrasta nad miarę, a mam jeszcze parę wiadomości, nieco bliżej nas obchodzących od miłości egipskiej. Chodzi tu o miłość słowiańską. Rusini i łużyczanie, więcej jeszcze od nas upośledzeni pobratymcy słowiańscy, zasługiwaliby na częstsze dowody naszej pamięci rodzinnej. Czy jest i jaka jest „sprawa rusińska" w Galicyi, w to wchodzić nie myślę; ale że los zdarzył, iż mieszkamy obok rusinów i z nimi zmieszani, stąd wynikają dla nas pewne obowiązki. Chcąc z nimi żyć w zgodzie, chociażby dla własnego bezpieczeństwa i pożytku, jeżeli już nie w imię wyższych zasad, powinniśmy się starać poznać ich bliżej; a jednak nigdy nigdzie spokojnego słowa spotkać nie można ani w piśmiennictwie, ani w dziennikarstwie o ich ruchu umysłowym, społecznym i ekonomicznym. Dla czego? Czy to się godzi? Czy to tak dyplomacya nakazuje, czy nasza ociężałość temu winna? Jeżeli dyplomacya, toć nie zapominajmy, że tak przyjaciela, jak nieprzyjaciela znać trzeba, aby módz z nim żyć, lub walczyć uczciwie i skutecznie. Oto np. pan Eugeniusz Żelechowski wydaje w Stanisławowie słownik ukraińsko-niemiecki, który ze strony naszej ignorowany jest absolutnie. Pisze do mnie szan. autor między innemi rzeczami: „Na 307 abonentów, pan jesteś pierwszym polakiem (ze wszystkich ziem), który raczył kupić mój słownik." A słownik jest dobry, starannie opracowany; każdy wyraz poparty jest mnóstwem przytoczeń z piśmiennictwa; wymawianie i przygłosy należycie uwzględnione; obszernym też będzie i wyczerpującym bo 160 stron już ogłoszonych zaledwie nie całe pierwsze cztery głoski abecadła obejmują; całość złoży się z około 60 ark. dużej ósemki, po 1 złp. za arkusz. Autor sam jest nakładcą, do niego też wprost najlepiej jest zgłaszać się o prenumeratę, adresując do Stanisławowa. Czytelniku, pośpiesz z twym groszem wdowim; nie pożałujesz tego; jeżeli nie znasz jeszcze bratniej mowy, którą przemawia lud kilkunastomilionowy, to staraj się ją poznać, bo to podobno najmelodyjniejsza ze słowiańskich, a słusznie mogąca się chlubić cudnemi pieśniami ludowemi.

Nie zapominajmy też naszych obowiązków względem garstki łużyczan, która po słowiańsku żyć chce i będzie, mimo zalewające ją fale giermanizmu. Krzątają się oni obecnie koło wybudowania „domu narodowego" w Budyszynie (Bautzen); brak im środków, bo patryotyzm ożywia u nich głównie niezamożne tylko klasy. Szanowny dr. Ernest Muka wzywa mię, abym rodaków moich zachęcał do składek na ów dom, w którymby „Macica Serbska" godnie i wygodnie zagospodarować się mogła. Idźmyż więc za przykładem Kraszewskiego, który dawno już tyle zasobów dla braci łużyckich dostarczył, że się dało z nich utworzć stypendyum imienia jego; idźmy za przykładem Parczewskiego i innych, którzy nadsyłaniem książek i pieniędzy stale wzbogacają zasoby Macierzy Serbskiej; a pamiętając na zasadę „non multum, sed multi," którą innemi słowy powyżej przytoczyłem, mówiąc o towarzystwie imienia Marcinkowskiego, nieśmy nie *wiele*, ale *wielu*, i to zaraz, na ołtarz pobratymców *), powtarzając hasło polsko-czeskie: kochajmy się, nie dajmy się.

Kończę wiadomością z listu profesora Juszkiewicza, który nie ustaje w swej chwalebnej pracy ogłaszania pieśni litewskich, zebranych przez ś. p. brata jego i przez niego samego: w ciągu lata r. b., w jednem z wydawnictw drugiego wydziału Akademii Nauk petersburskiej, ukaże się zbiór pieśni weselnych litewskich, zebranych w okolicy Wielony.

Jan Karłowicz.

O POWABACH GRY.

II.

Wszelka czynność duchowa polega na współistnieniu wielu pojęć lub wyobrażeń. Wyobrażenia te mogą w rozmaitym pozostawać do siebie stosunku: łączyć się w jedno, być rozdzielone, podporządkowane, odosobnione lub skupione w grupy. Jeśli większa liczba wyobrażeń w duszy naszej zjednoczy się tak, iż jakkolwiek wszystkie przez czas pewien w zupełnej znajdują się równowadze, każde z osobna jednak dąży do osiągnięcia przewagi — to w wypadku podobnym owa walka pojęć, owe dwustronne, chwiejące się podrażnienie umysłowe wywołuje przyjemność, której punktem kulminacyjnym i końcem zarazem jest zwycięstwo jakiegoś danego pojęcia. W tej przyjemności właśnie spoczywa, podług Lazarusa, najgłówniejszy powab gry. We wszystkich grach hazardowych—rulecie, faraonie, ze wszelkiemi jego waryacyami—nic więcej odnaleźć niepodobna, prócz natężenia duszy, wywołanego pytaniem: rzuciż siedem, albo osiem, małą, albo wielką liczbę, jaki numer padnie, która karta zwycięży, czerwona, albo czarna?

Owo *albo* jest potężną siłą psychologiczną, nieprzeparcie przyciągającym magnesem. Magnes ten nie traci mocy swojej wtedy nawet, gdy gra odbywa się bez stawki żadnej.

Obok tego interesu, rzec można pierwotnego, w umyśle gracza i inne gromadzą się pierwiastki. Zaliczyć tu przedewszystkiem należy nietyle chciwość, ile raczej chęć wygranej, chęć otrzymywania darów z ręki ślepego losu, która dla wielu ma urok, przeważający niebezpieczeństwo poniesienia strat. Niepoślednią też rolę odgrywa nadzieja.

Przystępujący do gry zupełną mają świadomość, że ona już wielu zrujnowała, a zbogaciła małą jedynie garstkę. Pomimo to każdy ma nadzieję, iż on należeć będzie do mniejszości.

„Człowiek żyjący, jak trafnie ktoś powiedział, bez nadziei jest niedorzecznością. Można żyć bez uciech, wśród boleści; ale żeby wytrzymać życie, trzeba się łudzić, że przyszłość będzie lepszą, trzeba mieć w ręku weksel przez nią wystawiony, choćby — fałszywy. Tym wekslem jest nadzieja."

Właściwą uwodzicielką do gry, syreną w razie wygranej lub przegranej nęcącą do nowych stawek, jest fantazya. Gracz naprzykład, stojący u stołu ruletowego, najwyraźniej słyszy, jak kula rzucona, sycząc i odskakując, zatacza się do otworu numerowego; potem słyszy, jak numer ten jest wywołany, widzi, jak pieniądze zostają mu odliczone, przysunięte. Doświadcza on tego wszystkiego przy pomocy wewnętrznego oka lub ucha fantazyi, nie, jakby to było nadzieją i przyszłością, lecz, stanowiło najprawdziwszą rzeczywistość. W przódy — myśli sobie — tak samo słyszał wyraźnie, postawił i wygrał, albo byłby wygrał, gdyby postawił, więc wierzy, choć wiara ta zawiodła go już nieraz.

Niemały udział w grze, a raczej w pociągu do niej, posiada miłość własna. Montesquieu i Diderot są zdania, że zadowolenie tego uczucia, świadomość, że się ma szczęście, główną jest sprężyną wszelkiej gry. Wedle autorów tych próżność, że szczęście nam sprzyja, podnosi jeszcze uwaga, jaką zwracają inni na powodzenie nasze. Nawet, gdy się graczowi nie wiedzie, poczucie miłości własnej silniejszcze występuje na jaw. Uważa się on wtedy za ofiarę, którą prześladuje potężna siła przypadku. Wtedy znów za sprawą fantazyi schlebia to jego miłości własnej, gdy podejmuje walkę z ową ślepą potęgą.

„Przypadek — mówi Lazarus—jest najniższem z pomiędzy pojęć ludzkich, los zaś jest najsilniejszem. W przypadku nie ma ani myśli, ani rozumu, ani porządku, ani prawa. Los natomiast rozciąga panowanie swoje na wszystko, co sterczy po nad rozumem i celowością, po nad porządkiem i prawem, losowi ulegają bogowie i ludzie. Parta przez miłość własną fantazya w duszy gracza podnosi przypadek do wysokości losu, z najniższego robi najwyższe."

Wracając do wpływu fantazyi, autor z wielką prawdą przedstawia wywoływane przez nią rozmaite stany umysłowe. Gracz, zdaniem jego, już to z rezygnacyą poddaje się swojemu przeznaczeniu, już silną ma nadzieję wygranej, a jednak pragnie jej, już wreszcie się oburza. Raz wyobraża sobie, że rządzi nią przypadek bezmyślny, ale rozum jakiś obliczający, odpowiednio zaś do tego drogą dociekań i rozmysłań stara się zbadać prawa owego rozumu; pomimo wszelkich niepowodzeń i widocznie mylnych przypuszczeń, wytrwale dąży do obliczenia przypadku, zapomina bowiem, że rachunek prawdopodobieństwa posiada tylko jedną prawdę ogólną, nie mającą praktycznego zastosowania do każdego z osobna wypadku. Kiedyindziej znów ten sam gracz różnymi przymiotami moralnymi wyposaża marzone przez siebie szczęście, czy los. Przez ciąg całej talii np. stawia na *jedną* kartę, w przekonaniu, że los wynagrodzi go za wierne przywiązanie i stałość, gniewa się na niego, jak na istotę czującą i myślącą oraz sili się na złamanie przypisywanego mu uporu.

Rozebrawszy wszystkie wewnętrzne pierwiastki gry, Lazarus zapytuje: „Czy wszakże wszystko, cośmy dotychczas powiedzieli, nie stanowi jedynie myśli filozofa, których w duszy gracza nie ma ani śladu? Czyliż gracz nie powie: o tem wszystkiem ja nie wiem nic; gra sprawia mi przyjemność, albo drażni mię mile—i na tem koniec?",

„Przedewszystkiem — odpowiada — świadectwo gracza nie może w tym względzie żadnego mieć znaczenia. Ludzie najczęściej również mało wiedzą o zachodzących w nich objawach psychicznych, jak mało znane im są czynniki życia fizycznego. Wskutek jakiego procesu kieliszek wódki taką lubością przejmuje ciało, a nawet i duszę; dlaczego i w następstwie jakich przyczyn alkohol pomimo to staje się trucizną dla organizmu — o tem pijący nie wie. Musi mu to wytłomaczyć fizyolog, i w tej mierze właśnie a nie w tej jednej tylko, gra i wódka najzupełniej podobne są do niebie."

*) Adresować należy drowi E. Muka, Bautzen (Sachsen).

Dalej zastanawia się autor nad różnicą pomiędzy zakładem a grą. Podczas gdy w zakładzie człowiek na podstawie pewnych danych przypuszcza nastąpienie pewnego wypadku, rezultat gry usuwa się całkowicie z pod wszelkiej władzy rozumu, prawa lub konieczności. Bezpośrednim wypływem tej cechy charakterystycznej jest to, że gra jedynie stanowi pole, na którem najniedorzeczniejsze rozwijają się przesądy. Tak np. prawie powszechną jest wiara, że pewne miejsce (krzesło, na którem siedzimy) raz jest szczęśliwem, drugi raz nieszczęśliwem, a stąd w miarę potrzeby je zmieniamy. Znaną jest także fatalność, przywiązywana przez graczów do kart rozdanych przez osobę, która nie była na ręku i powtarzające się w takich razach żądanie nowego rozdania itp.

Z pomiędzy wszystkich cieni, jakie na umysł ludzki rzuca namiętność do gry, według Lazarusa, żaden nie jest tak ponurym, jak to, iż staje się ona szkołą wcielonego przesądu.

Zasadniczym rysem i jednym z najgłówniejszych powabów gier tak zwanych rozumowych jest to, że przedmiot ich, czyli karty, ich ruch, walki i zwycięstwa — jest zupełnie abstrakcyjnym, czysto formalnym, samoistnie niemającym celu, ani znaczenia. Rozpoczynając grę, z powodu pustej jej i nic nieznaczącej treści, opuszczamy i zapominamy wprost przeciwny świat rzeczywistości i pracy, z jego troskami i uciechami, z jego wymaganiami i powodzeniami. Wtem zapomnieniu właśnie leży wytchnienie, jakiego w grze szukamy i znajdujemy.

Z drugiej znów strony, gry tak w rodzajach uporządkowania swego, jak i w sposobach wykonania zawierają rozliczne podobieństwa do form życia rzeczywistego — a tem samem mogą być uważane za jego symbolikę. Kupka kart, którą otrzymuje gracz każdy, porównaną być może do ogólnej sytuacyi, w jakiej człowiek przychodzi na świat. Okoliczności, położenia, stosunki, podobnie jak karty, z góry są dane, sam człowiek stworzyć ich sobie nie może, stanowią one jego przeznaczenie. Od jego energii jednak, zręczności i rozumu zawisłem jest przeznaczeniu temu pomyślny dla siebie nadać kierunek, lub też zwrócić je na swoją niekorzyść, wyzyskać strony dodatnie, zmniejszyć ujemne. Człowiek bowiem posiada pewien zasób swobód, dzięki któremu może spożytkować okoliczności, stosować się do nich, wybierać je i odwracać. Karty dokupywane odpowiadają dalszym kolejom życia, szczęśliwym, czy nieszczęśliwym, w każdym razie przecież powołującym do działania i wpływającym na siły jednostkowe. Dobra karta dokupiona równa się spadkowi lub spekulacyi, które odrazu i do gruntu zmieniają cały nasz byt ekonomiczny. W kartach widzimy wszystkie stany: chłopa, pana (ober), damę i króla. Rozmaite kolory albo herby wyobrażają rozmaite dynastye z ich zwolennikami czyli narodami lub stronnictwami. W każdej partyi jeden z kolorów największą gra rolę, tak samo jak w życiu najczęściej w danej chwili jedno ze stronnictw znajduje się u steru.

W tym wykładzie, urozmaicając go niezmiernie interesującymi przykładami z życia, oraz subtelnemi uwagami psychologicznemi, Lazarus dochodzi do wniosku, iż rzadko znaleźć stan duszy przyjemniejszy, dobroczynniejszy i bardziej odświeżający zarazem, jak ten, który wyradza gra, będąca czynnością bezwzględnie wolną i wyłącznie z dobrej woli podjętą, przystrajającą próżnię w formę dostatku, bezmyślność w pozory siły, nicość w powaby wartości.

Ad. J. C.

TEATR.

Dwa światy, dramat w pięciu aktach O. Feuilleta. — *Drobiazgi.*

Dwa światy: fabryka, hucząca łoskotem młotów, obok niej stary zamek, siedziba feudalna rodziny, która chyląc się ku upadkowi, własną wielkość przeżyła i stanowi gromadkę błędnych cieni, niemogących pogodzić się z rzeczywistością... Z jednej strony świat nowy, który o byt swój walczy ciężko wśród krwawego znoju i olbrzymich wysiłków, z drugiej — na pół cmentarna cisza, żywot senny ludzi, opancerzonych rodową tradycyą, przeżuwających wspomnienia świetności, wiernych starym sztandarom. Taka antyteza społeczna jest przedmiotem przedstawionego po raz pierwszy w Teatrze Wielkim dramatu Feuilleta, którego romantyczny tytuł *La belle au bois dormant* tłomacz przerobił na prostszy i lepiej streszczający założenie utworu. Poetyczny i wytworny autor, przedstawiając w najwyższem natężeniu antagonizm społeczny tych dwóch żywiołów, malując nienawiść, dzielącą ludzi teraźniejszości od ludzi przeszłości, rzucił między tymi światami złoty most zgody i pokoju.

Rozrastająca się pod kierunkiem dzielnego Morela fabryka grozi zagładą siedzibie zrujnowanych panów. Walka o byt zaostrza nienawiści kastowe i stronnicze, mimo to jednak szlachetność moralna przedstawicieli obu światów łączy ich bratnimi węzły po ciężkich próbach losu — miłość rzuca powiewną margrabiankę w objęcia krzepkiego fabrykanta a dotychczasowego panicza łączy z siostrą „kowala.“

To połączenie się zbogaconego plebsu z podupadłą arystokracyą rodową nie jest zjawiskiem rzadkiem w obyczajach francuskich i dokonywa się zwykle dość prozaicznie — na giełdzie małżeńskiej, na targowisku spekulacyi. W dramacie Feuilleta ten objaw społeczny występuje w sferze zupełnie odmiennej. Nie jest to targ salonowy, chłodny i konwencyonalny, kończący się spisaniem aktu u rejenta, ale trochę fantastyczny romans, legenda miłosna, przedstawiona na malowniczem tle życia w bretońskiem ustroniu.

Ze wszystkich utworów Feuilleta ten odznacza się największą przewagą dekoracyjności, na tle której wytworny ulubieniec dystyngowanego świata rzuca sceny sentymentalne, pełne szumnej, heroicznej brawury i nie żałuje wielkich frazesów i sentymentalnych uniesień... Na scenie mamy ciągłą panoramę widoków. Obrazy romantyczne snują się między skalami, w przysionkach klasztoru, dźwięki pieśni, kobzy i organów służą do podniesienia efektu, a końcowe uwieńczenie pragnień uczucia odbywa się wśród wiru maszyn, w fabryce, obok koła rozpędowego, które miało roztrzaskać głowę zrozpaczonego kochanka.

Nie można jednak powiedzieć, aby pomimo nadmiaru sentymentalizmu dramat Feuilleta nie zawierał tu i owdzie głębszych myśli. Chociaż jego czułość miłosna rozwinięta frazeologicznie, niekiedy naginana do zamiaru, chociaż kochankowie w czasie niespodzianego spotkania się na skałach zamieniają duet miłosny chwilami na polityczną dysputę, jednakże w postaciach, zwłaszcza drugoplanowych, stworzył autor subtelnie podchwycone typy arystokratyczne. Wogóle jednak dramat ten, jako utwór literacki i społeczny, nosi na sobie już leciuchną powłokę pleśni.

Jest on płodem owej epoki, gdy drugie cesarstwo, strojąc się w kłamliwy uśmiech liberalizmu, występowało z myślą pogodzenia starej monarchicznej tradycyi z nową demokracyą, zapomniawszy o tem, że samo powstało z rozboju.

Feuillet, autor niesłychanie mile widziany na tuilleryjskim dworze, rozmaitymi sposobami parafrazował piosenkę o pogodzeniu tradycyi i zwyczajów starej Francyi z postępem i zdobyczami rewolucyi. Co dzisaj warta ta piosenka, wiemy najlepiej z dziejowego doświadczenia, które tak krwawo zdarło z Francyi obydną szmatę. Dziś nie rozczulają nas te z sentymentów budowane mosty między fabryką a zamkiem feodalnym, gdyż widzimy, że z innych nieco materyałów urabiać trzeba cement, mający spoić rozdzielone nienawiścią odłamy społeczne. Zresztą od owego czasu zmieniły się stosunki, sprzeczność demokracyi i klas uprzywilejowanych w innych, ostrzejszych przedstawia się konturach. Utuczony wyzyskiem pracy fabrykant nie może być przedstawicielem walczącej demokracyi, a na jego obronę nie uzbrajają się w młoty i siekiery żylaste ręce robotników.

Pomimo dążenia do szlachetnego stylu, w dramacie tym tendencyjny frazes i efekt zewnętrzny przeważają nad środkami psychologicznymi. Nic dziwnego, że dla dzisiejszych słuchaczów straciły cokolwiek uroku przybory scenicznej mechaniki, że utwór, poczęty w duchu minionej już polityki doświadczył szybko losu tych wszystkich dzieł literackich, które będąc wytworem czasowych prądów, nie mogą być mierzone skalą większej estetycznej trwałości.

Na scenie mogłoby go podnieść świetniejsze wykonanie, które pomimo ogólnej harmonii raziło trochę przewlekłością i brakiem silniejszego tętna. Główną rolę obłocznej hrabianki subtelnie odegrała panna Wisnowska, zwłaszcza w scenach wewnętrznej walki. Krwistą i energiczną kowalkę przedstawiła pani Ładnowska poprawnie i sumiennie, sympatyczną rolę Morela odtworzył p. Ładnowski może nie dość muskularnie, ale bardzo pięknie przeprowadził genezę namiętności, a p. Prażmowski pomimo kilku zbyt patetycznych porywów był hrabią pełnym dystyngowanej swobody.

Z kilku drobiazgów, granych współcześnie w Teatrze Rozmaitości, na wyróżnienie zasługuje sprytna i wesoła farsa *Pantofel* p. Łuniewskiego, który zawód dramatopisarski rozpoczął bez sylabizowania i jąkania się jako biegły lubo zbyt gadatliwy czasem żartowniś. O *Gałązce jaśminu* p. Przybylskiego powiemy tylko, że ta dość zręcznie napisana sztuczka jest trochę mdłą, zupełnie tak samo, jak zapach kwiatów jaśminowych.

Z dwu płodów francuskiej muzy *Pierwsza miłość* zaleciła się elegancyą i wdziękiem, a jednoaktowy obrazek Monseleta i Arére'a dobrze tłomaczony wierszem przez p. Londyńskiego p. t. *Helota* nie zdołał obudzić w słuchaczach wesołości, jakkolwiek autorowie przedstawiają zwycięstwo pogodnego na świat poglądu nad spartańsko-żołdacką surowością. Główna postać tej sztuki kreślona jest z pewną typową siłą, ale sam naczelny motyw rozwinięty nie dość jasno, a tło zbyt blade i nikłe.

S. K.

KASA ADWOKATÓW.

Warszawscy adwokaci przysięgli pomyśleli o założeniu kasy wsparcia dla samych jej uczestników oraz dla pozostałych po nich rodzin. W tym celu wypracowany został projekt, który autorowie przedstawili starszemu prezesowi Izby sądowej, ten zaś wyjednał u ministra sprawiedliwości pozwolenie na zwołanie ogólnego zebrania adwokatów przysięgłych w Warszawie, mającego obradować nad ustawą. Uczestnikami kasy mają być: a) ad-

wokaci przysięgli; b) obrońcy, którzy urzędowali przed reformą i obecnie mają prawo stawać w sądach; c) pomocnicy adwokatów przysięgłych, którzy ukończyli uniwersytet.

Każdy, pragnący być uczestnikiem kasy, winien złożyć wpisowego rs. 6 oraz wnosić co miesiąc po rs. 1 kop. 50. Przyjęcie zależy od zarządu, ma on również prawo wydalić członków, którzy splamili się czynami przestępnymi lub niehonorowymi, albo też przez 6 miesięcy nie wnosili składki. Od decyzyi zarządu co do nieprzyjęcia lub wydalenia z powodu czynów hańbiących służy odwołanie się do ogólnego zebrania uczestników.

Kasa udzielać ma wsparcie jednorazowe lub peryodyczne a także pożyczki procentowe lub bezprocentowe. Prócz uczestników prawo do korzystania z niej mają ich wdowy do powtórnego wyjścia za mąż, dzieci do lat 16 a także i boczni krewni, którzy całe swe utrzymanie mieli od zmarłego uczestnika.

Zarząd składać się będzie z 5 członków, wybranych przez ogólne zebranie uczestników. Po roku losem wyjdzie 2 członków, w następnym 3 pozostałych. Potem członkowie zarządu wychodzić już będą co dwa lata. W miejsce ustępujących ogólne zebranie wybierać będzie nowych członków z pomiędzy uczestników adwokatów przysięgłych. Członek wychodzący może być wybrany na nowo dopiero po roku od ustąpienia. Członkowie zarządu obowiązani są utrzymywać w porządku Izby obrończe przy Sądzie okręgowym i Izbie sądowej, oraz starać się o utworzenie przy nich biblioteki podręcznej.

Obrady nad powyższym projektem odbyły się w niedzielę d. 22 b. m. w gmachu Izby sądowej pod przewodnictwem członka jej p. Ottona Fiszera. Zebrało się osób 100 t. j. mało co więcej, niż połowa wszystkich adwokatów przysięgłych zamieszkałych w Warszawie. Projekt prawie bez zmian został przyjęty. Główna dyskusya dotyczyła pytania: czy należy dopuścić do uczestnictwa w kasie pomocników adwokatów przysięgłych, przeciwko czemu wystąpiła znaczna część obecnych. Większość jednak obradujących oświadczyła się za dopuszczeniem, wskutek czego projekt w tym względzie został przyjęty z tą tylko zmianą, że zyskują oni prawo uczestnictwa w kasie dopiero po dwu latach praktyki sądowej. Propozycya kilku ze zgromadzonych, ażeby członkowie wychodzący z zarządu mogli być zaraz na nowo wybrani, prawie jednomyślnie została odrzucona. Natomiast po ożywionym sporze większością *jednego* głosu wprowadzono do projektu poprawkę, według której członkowie zarządu obowiązani być mają do wyboru corocznie z pomiędzy siebie przewodniczącego.

Projekt kasy przyjęty na zebraniu odesłany zostanie do zatwierdzenia ministrowi sprawiedliwości.

LIBERUM VETO.

Lewa ręka Ernestynki. — Drugie cudowne dziecko.— Czy cudowne. — Jego artykuł w *Gazecie Warszawskiej* i słowacy. — Kipert i Gwiazdzic. — Grzechy na klepisku serca. — Zdrój gadzinowy. — Przedajny dziennikarz. — Pochyłość w Galicyi. — Brak pokuszeń u nas. — Sprawozdanie Kasy Mianowskiego. — Dwu hrabiów. — Nieobecni. — Ironia najlepszego ze światów.

„Lewaręka“ maleńkiej Ernestyny Boucher, sześcioletniej „skrzypaczki,“ tak pochłonęła całą myśl naszych ludzi, czuwających nad bezpieczeństwem „ideałów,“ że wpadliby oni niewątpliwie w umysłowy tężec, gdyby tego hypnotycznego posiedzenia nie przerwało drugie „cudowne dziecko.“ Jakiś sześcioletni chłopczyk „czyta wszystkie dzienniki... stawia horoskopy (wróżby) sytuacyj (położeń) przyszłych, oraz przewidywane opinie (zdania) prasy określa w danej sprawie.“ Nie dość tego: „jest on wielkim przyjacielem rzeczypospolitej francuskiej, za to nie odzywa się sympatycznie o Bismarku. Nasze dzienniki na palcach zna i, pytany, oznacza ich stanowisko i *programat. Szkoda* sił dziecięcych“ — powiada z westchnieniem Kuryer, z którego tę wiadomość czerpię i który najbardziej, bo dwa razy dziennie siły dziecięce marnuje. Bezwątpienia, szkoda, ale na podstawie powyższych objaśnień przeczę, ażeby ów sześcioletni polityk był tworem cudownym. Bo naprzód pewna część naszych pism jest dla takiego wieku nie za wysoko nastrojoną, powtóre „stanowisko i programat“ dojrzeć w nich może tylko dziecko. Niezwykłem rzeczywiście jest chyba tylko autorstwo chłopczyny, gdyż on to prawdopodobnie pisał artykuł wstępny wtorkowej *Gazety Warszawskiej*, w którym chwaląc „wytrawność i przezorność polityczną“ węgrów, dowodzi, iż oni „nie madziaryzują ze ślepego szału.“ Sześcioletni *bebe* widocznie nie słyszał o słowakach i o gnębieniu ich przez dzikich w wynaradawianiu potomków Attyli. Pomyłka zaś jest tem dziwniejszą, że słowacy są nam bliżej krewni, niż przez babkę i że w literaturze naszej upamiętniono ich męczeństwo.

Okoliczność ta wszakże nie przeszkodzi zapewne węgrom do powołania sprawozdawcy *Gazety Warszawskiej* na członka peszteńskiego towarzystwa geograficznego po Kipercie, który odesłał swój dyplom w gniewie za madziaryzacyę niemców. Czuły panie Kipert — alboż wynaradawianie się przestało być cnotą w twej własnej ojczyźnie? Germański słownik polityczny objaśnia, że to zasługa, a pan utrzymujesz, że występek. Jeżeli występek, w takim razie odeślij wszystkie swoje dyplomy niemieckie, bo one ci tyleż ubliżać powinny, co węgierski. „Robiąc rachunek sumienia — jak wymownie upomina nasz Gwiazdzic w swej świeżo wydanej *Praktycznej nauce* (za 12 groszy) — człowiek powinien sobie dokładnie wszystkie grzechy przypomnieć, żeby się żaden na *klepisku jego serca* nie został, bo by i sam *zgnił* i zepsuciem swojem *inne zaraził*.“ Przewiduję, co p. Kipert na tę kapłańską radę mi odpowie: „jeżeli sobie przypomnę *wszystkie* grzechy, i tylko „na klepisku mego serca“ pozostawię jeden, to on „innych“ nie zarazi, bo „innych“ nie będzie; jeżeli grzechy ulegają „gniciu“ i „zarazie,“ to muszą posiadać stan zdrowia. Otóż mój grzech niemiecki jest zdrów, a gdy wyrzuciłem węgierski, nic go nie zarazi.“ Rozumowanie takie rzeczywiście podważa logikę szanownego Gwiazdzica, ale z „klepiska serca“ Kiperta grzechu zgody na germanizacyę nic zmiata.

Jak wygląda „klepisko serca“ redaktora *Dziennika Polskiego* — orzec trudno. Ma na nim leżeć grzech „gratiski“ od Länderbanku, który coraz wyraźniej staje się gadzinowym zdrojem. Z niego miał zaczerpnąć poseł Kamiński, z niego zaczerpnęły zamaskowane „figury,“ z niego napił się także — jak sam wyznaje — inny redaktor lwowski, w nim wreszcie utonął podobno kierownik *Dziennika Polskiego*. Współpracownicy tej gazety ogłosili publicznie, że zbadaniem sprawy oskarżonego zająć się sąd honorowy; w każdym razie szybkie wyłażenie coraz nowych plam na ciele Galicyi zdradza długo ukrywaną, ale niebezpieczną chorobę. Przy dobrych chęciach prasy czarne te znamiona dadzą się przemalować na biało, ale rak wewnątrz pozostanie. Czyby nie skuteczniej działała odrobina krytycyzmu i nieco mniej przechwałek na temat „czystości?“ „Zarówno chorób społeczeństwa jak ciała nie można ani usunąć, ani wyleczyć bez wyraźnego o nich mówienia“ — powiada J. S. Mill. Trzeba więc mówić, mówić wcześnie, nie wtedy dopiero, gdy prawda, trzymana pod korcem, dno jego wybije i żale swe rozkrzyczy. Zamiast wywracać oczy do góry i bolesnem westchnieniem telefonować do nieba o „niebywałem zdarzeniu,“ lepiej widzieć naokoło siebie ludzi, jak wszyscy ludzie, ułomnych i nie wykłamywać dla nich przed światem anielskiej natury. Nie powiem, ażeby odkrycie na gruncie naszym widoku nowożytnej sielanki — literatow, ssących piersi macierzy bankowej — było obrazem przyjemnym. Przedajny dziennikarz, który oszukuje zaufanie swych czytelników i prowadzi ich wiarę na manowce, wart, ażeby go za nogi powiesić jako wahadło publicznego zegaru, a ręce przybić jako wskazówki na tarczę w postaci srebrnika, dla którego został Judaszem. Wstrętniejszym i większej wzgardy godnym może być tylko opłacony zdrajca lub łapówkowy sędzia. Wszystko to przecież ani nie odstrasza od pokusy złych charakterów, ani nie powinno oślepiać stróżów moralności publicznej, którzy nie mogą się ustrzedz błędu w naiwnym lub udanym optymizmie, wyłączającym możliwość ludzkiego upadku. Złe puściliśmy w wieczystą dzierżawę innym ludom, sobie zostawiliśmy monopol cnoty. I dziwi nas to ciągle, gdy jakiś nasz brat dowiedzie, że słuszniej na czterech nogach chodzić by powinien, że handluje sumieniem i przeniewierza się swym obowiązkom. Mnie to nadewszystko nie dziwi w Galicyi, w której już dawno z ust znakomitego pisarza zabrzmiało hasło sprzedawania się więcej dającemu i w której fatalne stosunki nieprzepartą siłą pchają do zepsucia. Bo czyż nie muszą rodzić się pokusy, gdy nagle i silnie rozbudzone życie polityczno-społeczne biegnie w warunkach, utrudniających niepodległość przekonań? Organy prasy galicyjskiej, z bardzo nielicznymi wyjątkami, dzięki lichwiarskiemu opodatkowaniu i słabo rozwiniętemu czytelnictwu, nie pokrywają swych kosztów i dla tego szukają zasiłków, pomocy, zależności, służby. Jak karmiący worek im zaśpiewa, tak one tańczą. Dziś wskazują „szczęście ogółu“ w Wielkiej, jutro w Małej Niedźwiedzicy lub innych konstelacyach polityczno-społecznego zodyaku. Życie nie sączy się tam kroplami, ale pędzi wartkim prądem, niosąc w swym nurcie masę interesów i rachub praktycznych, które trzeba łowić i mącić dla nich wodę; każdy przeto zręczny rybak może szybko zarobić i sprzedać swe usługi. Ktoby kupił, gdyby nawet rękę wyciągnęło, jakiekolwiek pismo warszawskie? Chyba szewc, żeby mu pochwaliło obuwie, lub restaurator dla powodzenia swych obiadów. Jeżeli wielkie interesy występują u nas do gry, to jej rezultat nie zależy nigdy od prasy, żaden też dyabeł dziecka nie uwodzi. Inaczej w Galicyi. Tam dziennikarstwo, chociaż jego abonentów mocna kucharka przeniosłaby w koszu z jednej redakcyi do drugiej, wpływ wywiera, jego zatem głos kupić nieraz warto i — jak widzimy z ostatnich odkryć — kupuje się... Nie uśmiechają mi się wawrzyny proroków, wołających na puszczy, zauważę jednak, że jeśli uczciwość jest dla każdej prasy obowiązkiem, to dla naszej stała się koniecznością, pierwszem przykazaniem — niech to brzmi dziko — interesem ogółu.

Ponieważ los uwolnił naszych tuzów arystokracyi, przemysłu i handlu od potrzeby karmienia dziennikarskiego drobiu, należy się od nich ofiara dobroczynnym bogom. Ołtarz Kasy imienia Mianowskiego, założony dotąd głównie darami ubogich, dopomina się pamięci u możnych. Nic żebrze, bo według świeżo wydanego *Sprawozdania* posiada około 20,000 rs. zapasu, ale „nieobecność“ śród jego kolato-

rów jest uderzającą. W liście członków założycieli, do której zapisało się nawet kilku biednych literatów, widzimy tylko dwu hrabiów z wkładem 150 rs., a jeden z nich jest może najbogatszym człowiekiem w Polsce. To nie po pańsku! Dwa konie rasowe mniej, nie dotkliwy ubytek, a bieda krajowa zyskałaby dużo. Ach, gdybym posiadał bodaj maleńką ordynacyjkę i zwłaszcza procesował się zawzięcie z moimi dzierżawcami nawet o kołek w płocie, Kasa Mianowskiego, jedyna u nas instytucya, opiekująca się materyalnie nauką w kraju, odczułaby to niezawodnie. Przeczytawszy jej *Sprawozdanie*, wyszedłem na ulicę i zacząłem liczyć karety z herbami: dziesięć... sto... dwieście! Gwałtu, iluż tu kandydatów na „członków założycieli.“ Wobec głuchoty panów, możeby się odwołać do poczucia obywatelskiego ich służby? Hej, panie lokaj—wołam— do zatopionego w niedźwiedziach Goliata. który stanął przy drzwiczkach, gdy jego pani wysiadła — czy pan dobrodziej nie dałbyś na Kasę Mianowskiego? — Ja tam probuję tylko *na totalizatora* — rzecze król hasła. Otóż dola! Panowie grają w konie, lokaje w totalizatora, z tej więc sfery Kasa Mianowskiego niczego spodziewać się nie może. Całą swą nadzieję opiera ona na skromnych kieszeniach 600 kilkudziesięciu „członków rzeczywistych,“ którzy wprawdzie nie mają za co kupić sobie wyścigowca, ale znajdą 5 rs. na roczną składkę. No, kochany plebsie, pokaż, że cię Bóg z gorszej gliny ulepił, że nie rozumiesz „wyższego posłannictwa znakomitych rodów.“ że nie ty, ale one podpierają społeczeństwo swemi ramionami, że twoje nazwisko sztandarów Targowicy nie zdobiło i... zapisuj je corocznie w liście członków Kasy Mianowskiego. O, najlepszy ze światów! Kilkunastu ubogich ludzi pracuje wykładami na publicznej katedrze dla przysporzenia tej kasie tylo, ile jeden arystokrata w ciągu wieczora przegrywa, wpadłszy „na proste piki bez jednej—z kurą.“

Poseł Prawdy.

W PERSPEKTYWIE.

Jeszcze Wojciechowa.—Przeciw konwulsyom.—Z Kazimierza.—Wyrok kahału.

Berlińczycy mają swą *Białą Damę*, która ich ostrzega przed niebezpieczeństwem, ilekroć zagalopują się zbytnio w kulturkampfie; ja zaś posiadam mego ducha opiekuńczego w osobie pani Wojciechowej, z której zasadami zaznajomiłem już niejednokrotnie czytelników. Przychodzi mi ona zawsze na ratunek, gdy zobaczy, że się daję unosić prądom maślanego optymizmu naszej prasy. Niedawno *Słowo* zaśpiewało hymn pożegnalny na cześć ustępujących z pośród nas przesądów i zabobonów. Z uczuciem tajonej roskoszy temperowałem już pióro, aby ten fakt radosny opisać — gdy wtem, jak bomba, wpada do pokoju Wojciechowa, wydziera mi z rąk scyzoryk i znika za drzwiami... Po chwili powraca i oddaje ostre narzędzie, na którem spostrzegam ślady krwi. Przed oczami staje mi ława oskarżonych, a w uszach brzęczą nieznośne kłamstwa adwokatów...

— Kogożeście zabili?—pytam.

— Nie panie, to proszę pana, Michaś mój dostał konwulsyj. W takich wypadkach potrzeba choremu rozciąć *na krzyż* serdeczny palec lewej ręki i krwią utoczoną posmarować pod nosem, na szyjce i na piersiach.

— Co też wy mówicie!

— Tak mię uczyła panna Aniela, a ona przecie lepiej odemnie te rzeczy rozumie.

— Więc okaleczyłaś Michasia?

— Nie ja sama, ja już nie mogę: to powinien zrobić człowiek, *który nigdy nie widział konwulsyj*...

Nie wiem, czy Wojciechowa wyleczyła Michasia z ciężkiej choroby i *Słowo* z optymizmu, to jednak pewna, że ja nie miałbym już prawa „rozciąć komuś serdeczny palec na krzyż;“ widziałem bowiem konwulsye i to, jak się zdaje, przedśmiertne. Podlega im obecnie niedzielna szkoła handlowa w Płocku, która tak się niemiłosiernie skurczyła, że tylko „czterech“ uczniów w swem łonie mieści. Kupcy sławetnego grodu dobrze robią, nie posyłając swych dzieci i subjektów do szkoły. Nauka nowożytna popiera takie np. głupstwa, jak: mezalians handlu z uczciwością, a najpiękniejszym nawet oszustwom i geszeftom odmawia praw obywatelstwa. My posiadamy dwa główne rodzaje handlarzy. Jedni, mając w swych księgach kasowych wiecznie otwarte *konto* głupoty konsumentów, przy zamykaniu rocznego bilansu wyprawiają sumienie na przechadzkę; inni zaś, poświęcając się jedynie „dla dobra ogółu,“ przychodzą do sklepów w glansowanych rękawiczkach, bilansów żadnych nie zamykają, ale za to sami bywają często zamykani w więzieniu za długi. Dla obu tych kategoryj szkoła handlowa jest zbyteczną...

Tylko przy dźwiękach chrapiącej w głębokim śnie opinii możliwemi są tak wesołe pląsy bezwstydu i niegodziwości, o jakich płaczliwie opowiadają teraz nasze pisma codzienne.

Działo się w Kazimierzu dolnym nad Wisłą. Mieszczanin miejscowy wydał przed dwoma laty córkę za niejakiego G. Po roku pożycia szczęśliwy małżonek został pozbawionym swej połowicy przez jej własnych rodziców, którzy, zawiózłszy córkę do Warszawy, sprzedali ją w „ciemnym lupanarze“ za przyzwoite wynagrodzenie... Mimowolny wdowiec żądał ciągle powrócenia mu żony. Rodzice, chcąc się uwolnić od natręta, zaprosili go do siebie na kolacyę, po której usiłowali zamordować zięcia tępym drągiem. Nieszczęśliwy wyzionął przed kilkoma dniami ducha w szpitalu puławskim, pozostawiając w nędzy staruszkę matkę, którą z pracy swej utrzymywał. Przypuszczam, iż o sprzedaniu młodej kobiety wiedzieli wszyscy mieszkańcy okolicznі i wszyscy małomiasteczkowi dygnitarze, a jednak z pomiędzy nich nie znalazł się ani jeden uczciwy człowiek, któryby zdemaskował starych chciwców, handlujących czcią dziecka. Są to skutki zacieśnienia pojęć etycznych do granic kantyczkowych. Czy mamy prawo zżymać się na bezduszną moralistykę Talmudu? Wątpię. Talmudyści postępują przynajmniej w dobrej wierze, a my i tego o sobie powiedzieć nie możemy; oni mają swoje kahały, których opinię szanują, a nasz kahał, wygrywając na zardzewiałej piszczałce ultramontanizmu i sam w nią nie wierzy i nad innymi wpływu nie ma żadnego.

I dlatego też wolę teścia ze Smorgonii, niż z Kazimierza.

W miasteczku, którego sława między niedźwiedziami najdłużej zapewne się utrzyma, mieszkał sobie pewien uczony talmudysta. Dla jedynej swej córki znalazł on był przed rokiem równie uczonego, ale znacznie młodszego od siebie męża, którego aż z Kowna sprowadził. Oddając młodzieńcowi jedynaczkę wraz z 1200 rs. posagu, stary fanatyk zawarł z zięciem ugodę treści takiej. Ojciec zamieszka z dziećmi aż do śmierci i będzie utrzymywał zięcia swoim kosztem. z warunkiem jednak, aby w domu młodego *rebe* nie było innych książek oprócz Talmudu i innego zajęcia oprócz ćwiczeń pobożnych. Po roku szczęśliwej egzystencyi tej skojarzonej trójki stary teść znalazł na stole zięcia... jakąś gramatykę rosyjską. Domniemany jej posiadacz został bez zwłoki obitym przez starca, którego zapały zaledwie interwencya sąsiadów zdołała powściągnąć. Cała sprawa poddaną została kompetencyi kahału. Gdy się to dzieje, zacięty talmudysta telegrafuje do Kowna do matki nieszczęśliwego delikwenta: „Przyjeżdżaj — nie mam już zięcia.“ Biedna staruszka, przestraszywszy się mocno—zachorowała. Tymczasem kahał wydał wyrok następujący: teść winien jest wielkiej porywczości; gramatyka rosyjska, nie należąca zresztą do książek najbardziej *trefnych*, znalazła się na stole przypadkiem; stary Rebe ma nadal żyć w zgodzie z zięciem, powinien leczyć jego matkę, a w razie jej śmierci sprawić przyzwoity pogrzeb.

Jeżeli akademia smorgońska istnieje jeszcze, to posłałbym do niej na naukę mieszkańców Kazimierza dolnego. Lekcyi udzielałby smorgoński kahał.

Maryan Bohusz.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 25 kwietnia.

Wyjaśnienia w sprawie nowego przymierza potrójnego.— Nowe kroki fenienów i tryumf Bradlaugha.— Mowy przeciw austryackiej noweli szkolnej – Skandal w sejmie peszteńskim. — Zatargi albańsko-czarnogórskie,

Pomimo zupełnie pokojowej postawy Rzeczypospolitej francuskiej nowe, przeciwko niej głównie skierowane przymierze potrójne mocarstw środkowo-europejskich nie przestaje zajmować uwagi publicznej. Przynajmniej na naszym lądzie stałym, wobec sojuszu tego, wszystkie inne wypadki cofnęły się na plan dalszy. Po wynurzeniach Manciniego w senacie włoskim nastąpiły wyjaśnienia Tiszy w sejmie węgierskim. Minister włoski usiłował dowodzić, że sojusz trzech mocarstw nie ma bynajmniej na celu żadnych wrogich zamiarów względem Francyi, że cele jego są pokojowe i że stosunki Włoch z Rzecząpospolitą ciągle się poprawiają. Naczelnik gabinetu węgierskiego poszedł jeszcze dalej w tym kierunku. Oświadczył on najwyraźniej, że przystąpienie Austryi do przymierza, mającego na celu wyłącznie zamiary nieprzyjazne przeciwko Francyi „nie miałoby sensu,“ że Austrya z nią pragnie i będzie pozostawać w stosunkach jaknajprzyjaźniejszych. Oświadczenia te obu ministrów potwierdzają się wzajemnie i są nie bez wagi. Treścią ich główną jest myśl zasadnicza, że związek Włoch z Niemcami i Austryą nie zagraża Rzeczypospolitej francuskiej żadnem niebezpieczeństwem. W tymże samym duchu przemówiły ostatecznie i dzienniki urzędowe berlińskie, wykazując, że do starcia z Rzecząpospolitą przyszłoby tylko wtedy, gdyby ona sama ujawniła dążenia zaczepne.

Dzienniki angielskie obok opisu nowych wybuchów dynamitowych, olbrzymich pożarów i procesów przeciw spiskowcom irlandzkim, pomieściły sprawozdanie ogólne o procesie przeciw rewolucyoniście innego rodzaju, posłowi Bradlaughowi. Izba wyższa unieważniła decyzye sądów niższych, wydając wyrok ostateczny na korzyść głośnego przeciwnika przysięgi religijnej. Wedle praw angielskich osobom nienależącym do parlamentu nie wolno brać udziału w jego posiedzeniach i głosowaniach pod karą oddania pod sąd i grzywną 500 f. s. za każdy raz. Ponieważ zaś poseł Bradlaugh, jako ateista, odmówił złożenia przysięgi religijnej przy wejściu do Izby, przeto zdaniem oskarżyciela, wedle litery prawa podówczas obowiązującego, nie powinien być uważanym za członka parlamentu. Pomimo to Bradlaugh wielokrotnie uczestniczył w sesyach sejmowych i głosowaniach na równi z innymi

posłami. Sądy niższe w skutek tego uznały go winnym przekroczenia prawa i skazały na olbrzymią karę pieniężną, wynoszącą kilkadziesiąt tysięcy funtów szterlingów. Izba wyższa nietylko uchyliła owe wyroki sądów wyższych, lecz skazała oskarżyciela na zapłacenie Bradlaughowi 2,000 f. s. za koszta procesu. Tym sposobem oskarżony nietylko przeprowadził reformę przysięgi parlamentarnej, ale zyskał zarazem pokaźną sumę.

W austryackiej radzie państwa w Wiedniu toczą się dalej rozprawy nad ustawą szkolną. Między innymi poseł Weitlof nazwał charakterystycznie nowelę szkolną barbarzyńskiem wywłaszczeniem społeczeństwa z dóbr duchowych, a poseł Rechbauer wyraził nadzieję, że wsteczne zmiany wprowadzane przez klerykałów austryackich w prawodawstwie obowiązującem w lepszych czasach znów usunięte zostaną, nad czem gorąco i nieustannie pracować będą wszyscy ludzie dobrej woli, kochający lud prawdziwie.

Jednocześnie w Peszcie sejm węgierski stał się znów areną skandalu, wywołanego zawiścią stronniczą. Pod koniec jednego z bieżących posiedzeń tajemnicza interpelacya posła Fuezessery wywołała ogromne wzburzenie. Zapytał on, czy minister spraw wewnętrznych wie o tem, że policya grazka wysłała do Pesztu komisarza dla śledzenia bandy rabusiów i że na liście oskarżonych wspólników bandy znajduje się nazwisko jednego z posłów sejmu węgierskiego? Na wołania o nazwisko Fuezessery odrzekł, że sejm dowie się o niem z odpowiedzi ministra, którego jednak nie było podówczas. Interpelacya ta wywołała ogromny popłoch i zamieszanie w sejmie. Mówca był oblężony zewsząd, ale nie chciał udzielić żadnych wyjaśnień. W sali posiedzeń i na korytarzach gmachu sejmowego rozeszła się wkrótce pogłoska, że posłem oskarżonym jest Geza Polonyi. Podniosły się głosy oburzenia, że prezes sejmu nie przywołał interpelanta zaraz do porządku, aby dać oskarżonemu możność usprawiedliwienia się z tak ciężkiego zarzutu. Ponieważ jednak posiedzenie było już skończone, błąd ten nie mógł na razie być naprawiony. Pobudką całego zajścia była nienawiść, jaka panuje pomiędzy partyami sejmu węgierskiego. Poseł Polonyi występował zawsze gorąco przeciw antysemitom i ich wnioskom, Fuezessery zaś, który często bronił Istoczego, należy właśnie do tej grupy. Dopiero na posiedzeniu następnem, wśród niemniejszego wzburzenia, Polonyi wyjaśnił spisek, jaki przeciw niemu uknuto, nazywając Fuezesserego prostym oszczercą. Zajście skończyło się ostatecznie moralną klęską Fuezesserego, który musiał uroczyście przeprosić Poloniego, cieszącego się ogólną sympatyą.

Na półwyspie Bałkańskim żywioły palne tlić się nie przestają. Na granicy tureckoczarnogórskiej prawie codzień zdarzają się starcia pomiędzy czarnogórcami i arnautami, grożące wybuchem szerszych działań wojennych. Książe Mikołaj rozkazał postawić część armii na stopie wojennej i polecił czarnogórcom, którzy jeszcze nie opuścili Albanii pospieszyć z powrotem do kraju.

S. C.

CUDZE GŁOSY.

Spór z czechami. Stosunki między polakami i czechami na Szląsku austryackiem nie mogą się jeszcze ułożyć do pożądanej zgody. Patrzącemu z daleka spór ten zdaje się polegać więcej na nieporozumieniu, aniżeli na istotnych a poważnych powodach. Wiadomem jest np. czytelnikom naszym, że rozporządzenie, częściowo równouprawniające resztę języków krajowych na Szląsku z wszechwładnie dotychczas panującym niemieckim, nie zadowoliło ani czechów, ani polaków. Ostatnich tem bardziej, że równouprawnienie języka czeskiego rozciągnięte zostało na cały Szląsk (z wyjątkiem okolic czysto niemieckich, ale natomiast także w okręgach czysto polskich, gdzie tylko jednostki czeskie przebywają), polskiego zaś jedynie na Księstwo cieszyńskie. Tymczasem i w Księstwie opawskiem znajduje się podobno kilka wsi polskich, a właściwie zamieszkałych przez ludność niedającej się ściśle określić narodowości, przechodnią między polakami a czechami, przywłaszczaną zarówno przez pierwszych, jak i drugich, ale podległą wpływom kultury czeskiej w stopniu znacznie większym, niż polskiej i prawdopodobnie przepadłej dla nas nieuchronnie. O tych wątpliwej narodowości parę gmin, odłączonych zresztą od polskiego pnia czesko-niemieckim klinem, rozbijają się nasi pograniczni szowiniści z zapałem godnym zaiste donioślejszej nieco sprawy i niepotrzebnie wzniecają sąsiedzkie swary, ktore przy pomyślnym dla nieprzyjaciół wspólnych wietrze rozdmuchane mogą być łatwo z nic nieznaczącej iskierki w płomień, zdolny pożreć cały gmach z takim trudem zbudowanej czesko-polskiej zgody.

Ponieważ o sporze braci naszych szląskich z czechami podawaliśmy już kilka razy uwagi *Gwiazdki cieszyńskiej*, poczuwamy się do obowiązku zaznajomienia czytelnika także ze zdaniem *alterius partis*, reprezentowanej przez *Opawsky Tydennik*, jedyne na całym Szląsku austryackim pismo czeskie.

„Od pewnego czasu — pisze on — wyczytujemy w pismach polskich skargi pobratymców naszych z Księstwa cieszyńskiego, jakoby bądź to cały naród czeski, bądź też jednostki na własną rękę szerzyć chciały czeszczyznę na ziemi polskiej, przywłaszczając ją tym sposobem dla naszej narodowości. Że czesi ani w Czechach, ani na Morawie, jako żywo, o czemś podobnem nawet nie pomyśleli, to się rozumie samo przez się, ponieważ stosunków szląskich, zwłaszcza narodowościowych, nie znają nawet dobrze. Że i nam tutaj w Opawsku również nic takiego na myśl nie przyszło, możemy śmiało dowieść, boć czechów opawskich sprawa ta zajmuje o tyle, o ile im zależy na zgodzie żywiołu słowiańskiego w Cieszyńsku, skąd czerpać chcą moralną pomoc i pociechę w smutnych swoich stosunkach.

Bracia polacy narzekają, że język polski nie jest jednako uprawnionym z czeskim w Ks. Opawskiem. Ależ na Boga, czeszczyzna przecież tyle ma rzeczywistego urzędowego znaczenia na Szląsku, co i polszczyzna, ba nawet mniej, albowiem rozporządzenie ministeryalne nie zostało jeszcze w Opawsku wykonane. Gdyby zaś język polski został równouprawniony i w Opawskiem, gdyby upór urzędników został przełamany i gdyby dziś już wydano rozporządzenie, ażeby czeskie i polskie podania po czesku i po polsku pisano i załatwiano — powiedźcie tak sprawiedliwie, kto w Opawsku podawać będzie do urzędów podania polskie, skoro tu polaków nie ma?.. Jednem słowem— równouprawnienie polszczyzny w Księstwie Opawskiem, którego niedostatek uważają sobie bracia polacy za krzywdę, nie miałoby żadnej praktycznej wartości."

Manifest w sprawie rusińskiej. Przed kilku miesiącami podaliśmy odezwę polaków poznańskich do galicyjskich, nawołującą do pogodzenia się z rusinami, z którymi rozbrat sprowadzić może na nasz naród niepowetowane klęski. Obecnie mamy do zanotowania nowy „manifest" w tejże samej sprawie. W głównej osnowie brzmi on:

„My polacy, niezarażeni w szkole niezgody, zasianej pomiędzy dwoma bratnimi narodami, podnosimy głos, aby zwrócić uwagę t. z. „galicyan" na to, że nie widzimy w nich żadnej a żadnej poprawy, że przeciwnie rozsiewają się między braćmi tak samo, jak dawniej, niezgoda i rozdwojenie w Galicyi, za co odpowiedzialność spadnie jedynie na szerzących niezgodę.

Przy wyborach na posła do Rady państwa austryackiej pod płaszczykiem patryotyzmu polskiego w Stanisławowie i Tyśmienicy rzucono na prawego syna Rusi, obywatela Zajączkowskiego, potwarz, jakoby ton był zaprzańcem narodowym a pewne grono mieniących się być polakami agitowało z tego powodu przeciw jego kandydaturze na posła w sposób niegodny i wstrętny każdemu prawemu obywatelowi.

Tyle krwi przelano na darmo, że prawdziwie powinni już byli wszyscy polacy w Galicyi zrozumieć, iż jedynie miłością i sprawiedliwością można dojść do tego, do czego przelew krwi nie doprowadzi. Tymczasem dzieje się inaczej, gdyż sami polacy sieją tam nienawiść pomiędzy dwoma narodami, karmiącymi się owocami jednej i tejże samej ziemi!"

Po skrytykowaniu wewnętrznych stosunków Galicyi, autorowie manifestu tak mówią dalej:

„Niechaj nie zarzucają polacy rusinom odstępstwa, bo tak samo, jak w narodzie polskim, tak też i między rusinami są wyrodki. Lecz czyż można za winy jednostek potępić cały naród? Niechże to rozważy każdy nieuprzedzony polak i rusin!

Nie ma wątpliwości, że pomiędzy halickimi rusinami jest dużo zacnych i zdolnych ludzi, których patryotyzm powinni polacy szanować i wspierać ich.

Z procesu Hrabarowej mogli polacy przekonać się dowodnie, że rusini nie są zaprzańcami. A jeśli trafiają się tacy między nimi, to powodem tego była albo wstrętna polityka „lachomanii" galicyjskich polaków, albo sporadyczne przekupstwo.

Protest ten przeciw polityce niektórych polaków w Galicyi zmuszeni jesteśmy podnieść, aby dać dowód tak rusinom, jak i innym narodom, że polacy nie dążą do niczego, coby okupionem być miało kosztem wolności albo wynarodowieniem drugich, lecz że szanują wolność każdego narodu, a tem bardziej rusinów, z którymi ich łączy wiekowa przeszłość..."

Organizacya obozu postępowego, demokratycznego, w Galicyi stoi obecnie na porządku dziennym prywatnych i publicznych rozmów w stolicy. Rzeczywiście przedmiot ten domagał się oddawna szerszej dyskusyi. Stronnictwo postępowe pozbawione jest wszelkiej organizacyi a co gorsza wciskają się do niego żywioły często-kroć obce, wstrętnie wsteczne, w obozie konserwatywnym niemogące się pomieścić jedynie dla swego krzykactwa a niepotrzebnie tolerowane w postępowym. Organizacya jest tem więcej jeszcze potrzebną, że stronnictwo przeciwne odznacza się nieposzlitą jednością i karnością, zachwianą wprawdzie nie mało w czasach ostatnich, ale od rozbicia się postępowego daleką jeszcze bardzo. Sprawą tą zajął się gorąco *Kuryer lwowski*.

„Społeczne nasze życie—powiada on—nie jest wypadkową z wzajemnego ścierania się dwóch sił przeciwstawnych, ale rezultatem jednej tylko siły, czerpiącej swój impet (!) w formach przeszłości i wstrzymującej przez to społeczeństwo na drodze rozwoju. Postępujemy o tyle tylko, o ile żyjąc wśród europejskich ludów, musimy chcąc nie chcąc ulegać wpływom ich demokratycznego ruchu.

Zadaniem przeto jest nietyle zasad tych lub owych, takich lub owakich upodobań indywidualnych, ale wprost sprawą patryotyzmu, dążyć do utworzenia silnego, solidarnego i rozumnego obozu postępowego w naszym kraju. Bez niepotrzebnego jątrzenia, rzucania się namiętnego, krytyk niewłaściwych, świadczących więcej o rozwoju wątroby niż mózgu, zorganizujmy nasz obóz, któryby się stał przeciwwagą panującego u nas stronnictwa, zaasymilujmy w nim żywioły zacne i poczciwe, jak np. ruskie i stwórzmy siłę, która w zapasach z siłą konserwatywną mogłaby jej polityczenemu empiryzmowi(?)przeciwstawić historyozoficzne prawa (!), jej nieufności i zwątpieniu — silną wiarę a prawość jej prawości."

Myśl słuszna, chociaż zarysowana niejasno.

PROCESY POLITYCZNE

(według *Praw. Wiestnika*).

W dniu 17 b. m. specyalny wydział senatu w Petersburgu ogłosił rezolucyę w sprawie 17 osób, oskarżonych o należenie do tajnego związku, noszącego nazwę

partyi „Woli ludu“ (*Narodnaja wola*) oraz inne czyny, zmierzające do przeprowadzenia jej celów.

W r. 1877 w kijowskiej gubernii, w czybiryńskim powiecie, między włościanami założono stowarzyszenie pod nazwą „tajna drużyna,“ mające na celu zbrojne powstanie przeciwko władzy. Głównym organizatorem i kierownikiem towarzystwa był Jakób Stefanowicz, mianujący się cesarskim komisarzem Dimitrem Najdą. Aresztowany w r. 1878 zdołał zbiedz wraz z innymi z kijowskiego więzienia i dopiero w przeszłym roku przytrzymany został w Moskwie.

W r. 1879 partya „narodnej woli“ postanowiła wykonać zamach na życie Cesarza i skutkiem tego niektórzy z jej członków przystąpili do zrobienia podkopów na Moskiewsko-Kurskiej drodze a także pod Aleksandrowskiem a Odessą. W naradach nad wykonaniem tego planu, oprócz poprzednio skazanych: Żelabowa, Kolotkiewicza, Presniakowa i innych, przyjmował również udział Piotr Tiełłałów, b. student Instytutu górniczego, potem zaś, kiedy przestępcy rozjechali się na umówione miejsca, Tiełłałów pozostał w Charkowie dla organizacyi miejscowych kółek rewolucyjnych i dla współdziałania z innymi. W listopadzie tegoż roku pracujący nad podkopem pod Moskiewsko-Kurską drogą dowiedzieli się, że Cesarz wracać będzie z Krymu drogą lądową, przeto dalsze przygotowania pod Odessą okazały się zbytecznemi i Goldenberg został wydelegowany do Odessy z rozkazem przeniesienia znajdującego się tam dynamitu do Moskwy, wtedy właśnie porozumiewał się on z członkiem komitetu wykonawczego, Saweljem Złotopolskim. W grudniu r. 1880 w Kiszyniewie policya przekonała się, że z mieszkania mianujących się małżonkami Mironienko rozpoczęto podkop pod kasę gubernialną. Winni zbiegli, wkrótce jednak potem zostali aresztowani i skazani wyrokiem senatu, z wyjątkiem kobiety, przebywającej w mieszkaniu Mironienków w charakterze kucharki. Po zaaresztowaniu w d. 20 czerwca 1882 Antoniny Lisowskiej przekonano się na mocy własnego zeznania oskarżonej, że ona była właśnie ową kucharką.

Ku końcowi r. 1880 członkowie stowarzyszenia postanowili znowu wykonać zamach na życie cesarza Aleksandra II. Miejsce do spełnienia zamachu było wybrane na podstawie wskazówek, dostarczanych przez osobny oddział, systematycznie śledzący pod przewodnictwem Perowskiej wyjazdy zmarłego cesarza. Wybór padł na ulicę Małą Sadową i w tym celu w domu hr. Mengdena wynajęty został lokal przez oskarżonego Jerzego Bogdanowicza, pod przybranem nazwiskiem Kobozewa.

Po śmierci cesarza Aleksandra II-go Kobozew wraz z żoną (osądzoną poprzednio Anną Jakimową) zbiegł i dopiero 13 marca 1882 r. został aresztowany w Moskwie. Składając pewne wyjaśnienia, stracony dawniej przestępca polityczny Kibalczyc zeznał, że wchodząc razem z dwiema innemi osobami w skład t. z. technicznego oddziału, wspólnie z niemi sporządził bomby wybuchowe. W następstwie skoustatowano, iż drugim technikiem był poprzednio już osądzony Grzegorz Isajew a trzecim Michał Graczewskij (członek komitetu wykonawczego). W mieszkaniu, jakie zajmował wraz z Iwanowską pod nazwiskiem małżonków Pryszybinów znaleziono maszynę drukarską, liczne proklamacye i znaczną ilość dynamitu.

Po 13 marca r. 1881 stowarzyszenie, lubo osłabione aresztowaniem wielu czynnych członków, postanowiło prowadzić dalej swoją działalność. W dniu 18 marca 1882 r. zamordowano w Odessie gen. Strelnikowa a śledztwo wykazało, że w przygotowaniach do zabójstwa uczestniczył pozbawiony praw i zbiegły z Syberyi Michał Klimenko. W 1882 r. Graczewskij otrzymał od komitetu wykonawczego zlecenie zorganizowania szkoły technicznej, dla wyuczenia kilku osób sposobu wyrabiania materyałów wybuchowych oraz urządzania min i bomb. Szkoła ta mieściła się w mieszkaniu weterynarza Aleksandra Pribylewa, a mniej lub więcej czynny udział w prowadzonej robocie przyjmowali: żona Prybylewa Raisa, Marya Juszkowa, Hesia Grynberg, Anna Korba, Klimenko i dymisyonowany porucznik marynarki Aleksander Bucewicz.

Jan Kalużnyj i Nadzieja Smirnicka aresztowani zostali w Moskwie; w zajmowanym przez nich lokalu znaleziono mnóstwo fałszywych paszportów, blankietów różnych instytucyj rządowych i skład zakazanych wydawnictw.

Wyrokiem senatu Bogdanowicz, Klimenko, Graczewskij, Tiełłałow, Złotopolskij i Bucewicz skazani zostali na karę śmierci przez powieszenie, Stefanowicz i Iwanowskaja na dożywotnie zesłanie do ciężkich robót, Anna Korba na lat 20, Borejsza, Prybylew, Kałużnyj, Lisowska, Grynberg, Smirnicka, Juszkowa i Prybylewa na lat 15. Sąd postanowił starać się o złagodzenie kary dla Prybylewa, Borejszy, Grynberg i Juszkowej.

W procesie politycznym, jaki toczył się w odesskim sądzie wojennym, skazani zostali: Dzwonkiewicz, Mejer i Popow na zesłanie dożywotnie do ciężkich robót; Drei, Matwiejewicz, Batagow, Iwanain, Nikolai, Nadiejew i Kurtiejew na lat 15; Rowieński, Wałujew, Golikow i Saryczew na lat 10; Fursienko, Fejga Morejnis i Torguszew na lat 4; Stepanow, Rejch, Niemirowski, Klimenko, Karp Nadiejew i Filukow na zesłanie do najodleglejszych miejsc Syberyi. Kandydat praw Popielnicki uznany został za niewinnego.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Wiedza. Profesorowie krakowscy: Z. Wróblewski i Olszewski skropili tlen. Gaz ten doprowadzony był przez Cailleteta do tego stopnia, że uwolniony z pod bardzo wysokich ciśnień tworzył widoczną mgłę. Metoda krakowskich uczonych polega na sprowadzeniu nadzwyczaj niskiej temperatury.

Rehabilitacya Minkowskiego. Na posiedzeniu Akademii umiejętności w dniu 16 kwietnia znany matematyk Jordan powstał z oburzeniem przeciw posądzeniu Minkowskiego o plagiat. Rozwiązanie nadesłane przez niego posiada samodzielne cechy. Nad tym przedmiotem pracował od lat 40 Eisenstein a od r. 1871 niedawno zmarły Smith. Wszakże ostatecznie rozwiązanem zostało zagadnienie dopiero teraz.

Wykłady. Prof. Wojciechowski rozpoczął w uniwersytecie lwowskim wykład dziejów Polski, Litwy i Rusi do końca XIII w.

Konkursy. Komitet wydawnictwa dziełek ludowych we Lwowie ogłasza konkurs na pracę w języku polskim lub ruskim, przeznaczoną dla ludu z uwzględnieniem stosunków wschodniej części kraju. Nagroda za najlepszy utwór wynosi 100 zł.

Lekarze polacy. *Russkij Kuryer* donosi, że w wyższych sferach w Petersburgu projektują zniesienie prawa, ograniczającego przyjmowanie do służby rządowej lekarzy polaków.

Prasa polska, *Dziennik anonsowy* zmienia tytuł na *Dziennik poranny* i zarazem rozszerza znacznie swój program.

— *Przegląd Katolicki* znajdzie wkrótce współzawodnika w *Tygodniku Katolickim.*

Koncert p. Marczello-Chraszczewskiej odbył się przy licznym udziale publiczności.

Konfiskata. Policya berlińska ze względów moralności i przyzwoitości skonfiskowała przekład *Decamerona* Boccacia. Przekład ten dokonany przed 30 laty miał w Niemczech kilka wydań.

Ciekawy list Kościuszki do jen. Niesiołowskiego (r. 1784) ogłasza *Kronika Rodzinna*, ciekawy zwłaszcza dla... polskich „gaskonów:“

„JW. Mości Dobrodzieju. Zaklinam na wszystko, co jest w życiu najmilszego, to jest żoneczkę i dziatki (z tem wszystkiem Anusia ma podobieństwo do Cyganki), abyś chciał JW. Pan Dobrodziej wyrwać mnie z miejsca tak nieprzyjemnego, kosztownego i nic jeszcze nie mającego. Bóg widzi, słowa nie mam do kogo przemówić, i dobrze, bo z wołami nigdy nie gadalem. Co za Gaskony! Ale dam pokój opisom krajowców, powiem tylko, że kraj piękny i tenby być powinien poczciwym i gospodarnym Litwinom przeznaczony, ale nie im gnuśnym i niedbałym. Chciejcie mnie powrócić do Litwy; chyba się wyrzekacie mnie, mnie niezdolnym widzicie służenia wam!

Któż jestem, jeżeli nie Litwin, współrodak wasz? od was wybrany, komuż mam wdzięczność okazywać, jeżeli nie wam? kogo mam bronić, jeżeli nie was i siebie samego? Jeżeli was nie zmiękczą do wniesienia o mnie na sejmie, abym powrócił, ja sam co złego sobie zrobię. Bóg widzi, bo złość mnie bierze, abym z Litwy w Koronie służył, a wy nie macie trzech jenerałów, kiedy was mieć na sznurku będzie przemoc. Wtenczas chyba ocknięcie się i o siebie dbać będziecie.

Nareszcie proszę na przyjaźń, którą chciałeś zaszczycić mnie JW. P. Dobrodziej, abyś był moim wybawicielem, który zawsze być pragnie prawdziwym i nieodmiennie z prawdziwem uszanowaniem.

JW. Imci Pana Dobrodzieja

unižony sługa

T. Kościuszko, g. m.

Ogłoszenia.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 15 Апрѣля 1883 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.